

Obrona Lwowa goniła resztkami sił. Zabrakło amunicji, środków opatrunko-  
wych, ludność<sup>c</sup> cierpiała na brak wody i światła. W końcu sytuacja stała -  
się beznadziejna. Generał Langner, dowódca obrony Lwowa postanowił oddać<sup>c</sup>  
miasto w ręce wojsk radzieckich, które stały u bram Lwowa. Dowództwo nie  
niedzie proponowało kapitulację miasta, ale generał odrzucił te propozy-  
cje.

Oddanie miasta władzom sowieckim było prostą formalnością.

Przecież żołnierz polski nie walczył przeciw armii sowieckiej. Władza ra-  
dziecka do miasta, a żołnierz polski, gdzie dusza zapragnie. Nie znano uta-  
jonych zamysłów bolszewików. Usta mówiły jedno, a głowa planowała drugie.  
I to drugie było fatalne, brzemienne w swych skutkach dla tych, którzy  
uwierzyli danemu słowu.

Ta decyzja generała Langnera fatalnie odbiła się na losach polskich  
oficerów. Zamiast do rodzinnych domów powędrowali do stalinowskich obo-  
w, a następnie do Katynia.

Według podpisanej umowy przez dowództwo polskie i sowieckie, żołnierze  
polscy po zakończeniu na swych stanowiskach bojowych, mogli swobodnie  
rozejść<sup>c</sup> się do swych domów rodzinnych. Oficerowie byli zobowiązani do-  
konać małej formalności, to jest zarejestrować<sup>c</sup> się na wyznaczonych punk-  
tach i jako wolni mogli udać<sup>c</sup> się do swych miejsc zamieszkania. Ta  
pozornie niewinna rejestracja była dobrze ukartowaną pułapką. Łazły do  
niej tysiące oficerów, wierząc danemu słowu, wierząc w treść<sup>c</sup> zawartych  
umów. Na wyznaczonych punktach przy ulicy Kubali i pod DOK zebrał się  
kwiat wojska polskiego. Byli wśród nich sztabowcy, ludzie nauki, średnie  
szarże, urzędnicy i nauczyciele. Wszystkich na punkt zborny gnało po-  
czucie obowiązku i dyscypliny wojskowej. I to wszystko w nowych warun-  
kach z nieznanym bliżej partnerem okazało się zawodne. Wiara i dyscy-  
plina nie mogły sprostać<sup>c</sup> wschodniej przebiegłości, która każęcy środek  
prowadzący do celu uważa za słuszny i zgodny z ich moralnością. Słowo  
dane przeciwnikowi, za jakich uważano polskich oficerów nie obowiązuje  
i rozgrzesza kamiących słowo.

Wraz z innymi oficerami szedłem z otuchą, by dopełnić<sup>c</sup> formalności. Myślałem  
byłem już w domu. Witaniem się z domownikami. Rzucałem z piersi żony gnio-  
tący ją ciężar niepokoju. I ta myśl dodawała mi stwardzonym nogom do-  
datkowych sił. Obok mnie maszerowała gromada młodych i starszych ofi-  
cerów. Szli na punkt zborny, a myślami byli gdzie indziej. Nie zdawali  
sobie sprawy z powagi położenia. Żaden instynkt samozachowawczy nie  
ostrzegł ich. Dokąd ludzie idziecie? Czy nie wiecie, gdzie was prowadzi  
ślepy los, czy czy też okrutne fatum? Och gdyby człowiek mógł przewi-  
widzieć<sup>c</sup> koleje swych losów? Ile tragedii było by mniej w życiu jednos-  
tek i narodów. Ale rąbek przyszłości ludzkiej jest skrzętnie ukryty.

Żadne oko, ani ucho nie mają tam dostępu. Mała ulica Kubali zapełniła kilkutyśięcną gromadą oficerów. Czekali z niecierpliwością na dopełnienie formalności. Gniotła ich sromotna klęska armii polskiej. Nie oczekiwali takiego końca. Nikt z obecnych nie był przygotowany na taki finał. Gorzycz zalewała serce, a wstyd rumienił lub pokrywał bladeością umęczone twarze. Niecierpliwosć rosła. Każdy z nich pragnął, by ten akt sromoty skończył się. Wrześniowy, jesienny dzień zwolna dobiegał końca. Błękit nieba zaczął zaciemniać od nasuwających się z zachodu gęstych, ciemnych chmur. Obraz wrześniowego dnia nagle zmienił swe oblicze. Jasność błękitu ustąpiła pola nadciągającym zwolna coraz ciemniejszym chmurom. Jak za dotknięciem niewidzialnej siły, przyroda zaczęła dostrajać się do niewesołej sytuacji zgromadzonych tu ludzi.

Nagle panującą ciszę, na tej małej, wąskiej ulicy przerwał głuchy łomot i chrzęst żelaza dochodzący od strony ulicy Batozego i Piłsudskiego, które zamykały ulicę Kubali.

Groźny łomot narastał z każdą sekundą. U obu wylotów ulicy ukazały się czółgi sowieckie, które zatarasowały ulicę. Po tłumie zgromadzonym na tej wąskiej ulicy przebiegł dreszcz zgrozy. Czyżby tutaj miał nastąpić akt mordy, masakra bezbronych ludzi?

Hałas motorów umilkł, ale groźne cielska sterczących luf nie zmieniły swej postawy. Sytuacja nabrała tragicznego napięcia, ale zgromadzeni oficerowie nie ulegli panice. Stali spokojnie, czekając na dalszy ciąg. Kto i w jakim celu zaangażował tak groźną sytuację? Czyżby w takiej scenerii miała nastąpić rejestracja? A może ci nieproszeni przybysze ze wschodu chcieli pokazać swoją potęgę wojskową, której zabrakło Polakom? Nagle tłum ożywił się, wyrwał z milczącej zadumy.

- Co to za komedie - huknął na całą ulicę, atletycznej budowy major?  
- Gdzie jest dowództwo - krzyknął inny?

Motory czółgów znów zagrały, a spaliny rozeszły się po całej ulicy co potęgowało wrażenie.

Życie tworzy czasami tragiczne sytuacje. Z jednej strony stalowe cielska czółgów, a z drugiej wielotysięczna, bezbronna masa polskich oficerów.

Ucichła wreszcie muzyka motorów. Ucichły głosy zebranych ludzi. Nastąpił ponury okres milczącego wyczekiwania, ale groza położenia nieustępowała. Nikt z oficerów nie szukał bezpiecznego schronienia w bramach, czy też w szałkach murów. Stali pełni dumy i godności oficerskiej. Jeżeli sądzono, że ta bojowa demonstracja wywoła popłoch, akt rozpaczliwych gestów, to srodze omylili się. Tych ludzi nie można było zastraszyć wprowadzić w stan histerycznej niemocy. Byli tylko zaskoczeni, wybici z normalnego toku myślenia.

Stałem obok znanego mi kapitana Szyby, byłego kierownika sekcji piłkarzy -

skiej lwowskiej " Pogoni ", w której grałem w niedawnej przyszłości. Stali w milczeniu, jak inni, nie mogąc dociec, co to wszystko ma znaczyć<sup>c</sup> i czym zakończy się cała sprawa?

- Wie pan, rzekł Szyba? To mi coraz bardziej nie podoba się. To nie prowokacja, a dobrze zaplanowana akcja. Pytanie tylko do czego ona prowadzi?

- Bądźmy cierpliwi, a wszystko wyjaśni się. Przecież nie będą nas tu ~~trzymali~~ trzymali do niekończoności.

Wątek zaczętej rozmowy przerwał się. Ogarnąłem wzrokiem zebranych oficerów i wyczułem, że z tej gromady emanuje wielka siła moralna ludzi, których wychowała prawda i poczucie sprawiedliwości. Byli to ludzie, którzy wiedzieli co to honor i dane słowo. Stał i bezbronna pierś. Duma żołnierska i perfidia tyrana narodów. Wschód i Zachód spotkały się na tej małej ulicy. Bezbronny tłum i ryczące cielska stalowych pancery. Dawid i Goliat, ale Dawid nie zwycięski, a bezbronny. Nagle w zwarty tłum oficerów wdarli się Żydzi na koniach, z czerwonymi gwiazdami na piersiach. Chcieli rozbroić<sup>c</sup> tych oficerów, którzy posiadali krótką broń, ale spotkała ich natychmiast odpowiedź godna tych, którzy nosili gwiazdki na ramionach. Ściągnięto sprzedawczyków z koni i posypali się razy. Wśród jęków i okrzyków bóleści schronili się pod opiekuńcze skrzydła czołgów. Tam szukali schronienia i opieki wczorajsi obywatele Polski, a dzisiaj usłużni lokaje najeźdźcy.

I znowu zagadka do rozwiązania. Komu i w jakim celu była potrzebna ta prowokacja? Na miejsce przepędzonych Żydów, pojawili się trzej oficerowie sowieccy. Najstarszy rangą podniósł rękę do góry na znak, że chce mówić<sup>c</sup>. Zrobiła się cisza.

- Panowie oficerzy - rzekł kiepską polszczyzną. Z przyczyn od nas niezależnych musicie złożyć<sup>c</sup> broń, a następnie w zwartej kolumnie udacie się do Winnik, gdzie nastąpi rejestracja<sup>a</sup> następnie powrót do domów. Czy można było jaśniej zademonstrować<sup>c</sup>, że spisana umowa nie warta funta kłaków? A jednak nikt z oficerów nie wyciągnął z tych faktów odpowiednich wniosków. Czyż dla prostej formalności musiano gnać<sup>c</sup> ludzi do odległych od Lwowa Winnik? Czy Lwów miał gorsze warunki<sup>b</sup> do przeprowadzenia rejestracji?

A jednak nikt z oficerów nie zareagował, jak należało. Jakaś ogólna apatia ogarnęła tych ludzi. Bez słowa uformowali czwórki i ruszyli w kierunku ulicy Lyczakowskiej.

Nastał już wieczór. Ciemności okryły ulice. Iść<sup>c</sup> było źle, gdyż wszędzie były barykady z bruku, które utrudniały marsz. Rozciągniętą kolumnę otoczyła eskorta sowieckich żołnierzy. Była to zapewne gwarancja, że polscy oficerowie bez przeszkód, z gwarantowanym bezpieczeństwem dotrą do Winnik.

~~leżących~~ Diabeł nie śpi. A może z lasu wyskoczy banda uzbrojonych hitlerowców? I kto będzie odpowiadać za całość i bezpieczeństwo tak cennych ludzi?

Ale zostawmy żarty w spokoju. To nie chwila na takie rozważania. Ta zbrojna eskorta nie wywołała żadnej reakcji ze strony oficerów. Rzekomo wolni ludzie posiadający gwarancje zawartej umowy byli pod czujną opieką bolszewickiej straży. Ale w tym ogólnym bałaganie i panujących ciemnościach, łatwo było dać nura do otwartych bram. Nie korzystali z nadarzającej się sytuacji. Jakiś czar bezmyślności opanował umysły i zdrowe reakcje tych ludzi. Długa ulica Lyczakowska ciągnęła się bez końca. Wszędzie przygotowane rowy i zapory przeciwczołgowe. Trakcja elektryczna zewwana. Wozy tramwajowe wywrócone.

Wśród tego zamowiska posuwała się wolno gromada oficerów, kwiat rozbitnej armii.

Akcja prowadzona przez NKWD była tak jasna, że tylko ślepy lub upośledzony na umyśle mógł tego nie widzieć, wyciągać rzeczowych wniosków. Byli wśród nich ludzie nauki, lekarze, nauczyciele, oficerowie sztabowi, a jednak nikt z tego tłumu nie zdobył się na zdrowy rozsądek, na wyciągnięcie odpowiednich wniosków z wytworzonej sytuacji. Dobrowolnie leśli bestii w paszczę. Nie wiadomo co ich gnało i zmuszało do ślepego posłuszeństwa? Może głęboko zakorzeniona dyscyplina? A może bezna-dziejna sytuacja - apatia będąca następstwem psychicznego wyczerpania i walących się na nich nigdy nie doznanych przeżyć? Szli, jak potulne stado owiec, nie sprawiających strzegącym ich brytanom żadnej trudności. Kolumna cieni, tak ją później nazwałem, wydostała się wreszcie z murów miasta. Po obu stronach szosy rozciągały się lasy, które ciągnęły się do samych Winnik. Znowu pyszna okazja do dania nura, ale nikt zmaszerujących nie był do tego zdolny. W jakim jakim celu uciekać, gdy za kilkadziesiąt minut formalności zostaną załatwione i przed wszystkimi droga wolna. Może tak myśleli, a może mózgi i wszelkie zdrowe reakcje zostały sparaliżowane.

Zza chmur ukazał się bladej rąbek księżycy, słabo rozświetlając mroki nocy. Przy tej bladej poświacie maszerujący wyglądali, jak karawana milniczących cieni. Nie było słychoć żadnych rozmów, czy też rozkazów.

Znękani ludzie nie dzielili się swoimi uwagami. Cały świat, droga po której której dreptali, oraz mijana, pełna uroku okolica były im obojętne. Do jakiego stanu może doprowadzić człowieka zbieg nieprzewidzianych okoliczności.

Winniki są oddalone od Lwowa około siedmiu kilometrów. Była to żydowska miejscina, której jedyną atrakcją była duża fabryka papierosów. I tu miał rozstrzygnąć się los oficerów. Kto zdrowo myślący mógł w to uwierzyć. A jednak było ich wielu, nazbyt wielu.

Kilometr po kilometrze posuwała się gromada fatalistów drogą, która prowadziła. .... Tak prowadziła, ale dokąd? W chwili marszu takie pytanie nie powstało w żadnej z tych wielu głów, a było ono konieczne. Niedaleka przyszłość, a później historia, ta prawdziwa, a nie zakłamana pisana o fakty, a nie na zamówienie, da odpowiedź, naświetli wszystkie następstwa i przyczyny zaistniałych wydarzeń.

Droga lekko opadając skręcała w prawo i przed maszerującymi zamajaczyły pierwsze światła miasteczka. Rozległy się szczekania kundli, ale i one umieczone tą niezwykłą gromadą nagle umilkły. Eskortowanych wprowadzono na fabryczny dziedziniec, a następnie do dużej hali. Ze zgrzytem zamknęły się za nimi żelazne wrota, stłoczeni, jak śledzie. Odezwały się głosy protestu. O ironio. Czy teraz była pora na jakikolwiek protest, czy oburzenie? Nie. Żaden protest, żadne oburzenie nie zmieniły by wytworzonej sytuacji. Zamknięte wrota zamknęły drogę do wolności. Zapadł z góry zaplanowany wyrok. Tak władza sowiecka dotrzymuje dobrowolnie przyjęty na siebie obowiązek, podpisane zobowiązanie. Są one, jak i dane słowo dla naiwniaków, dla ludzi, którzy miarą zachodu chcą mierzyć stalinowskie pozządki i jego moralność. To zasadniczy błąd dyplomacji zachodniej popełniany od dziesięcioleci. Wierzą słowom, które nie mają pokrycia w rzeczywistości. Ludzi i narody należy oceniać według tego co i jak robią, a nie na podstawie pustych słów, nie mających pokrycia w codziennym działaniu. Mów jedno, a kieruj się drugim. Oto zasada stosowana władcy na Kremlu.

Najbliżsi zaczęli bić pięściami i butami w żelazne wrota, ale one uporczywie milczały, kpiąc z bezsilności ludzkiej.

Wyczerpane, zachrypnięte gardła zaczęły zwolna cichnąć. Miejsce ślepego oburzenia zajął rozum. Tak. Zaczął działać rozum, który przez tak długi czas był ślepy i głuchy. Zaczęła się gorączkowa narada, w której chcieli brać udział wszyscy. Żadna zasada. Wszyscy milczeli. Wszyscy ulegli ogólnej apatii, a teraz, jak za dotknięciem czarodziejskiej siły chcieli mówić. Wszyscy milczymy lub wszyscy gadamy. Prawdziwa demokracja. Tak pojęta demokracja prowadziła do nikąd. Wartością rozumnego człowieka jest umiejętność szafowanie milczeniem lub mową, a tych uwięzionych, jakichś złe fatum pozbawiło rozsądku, zdrowego myślenia.

Po długich, burzliwych przetargach wyłoniono komisję, która miała pertraktować z komisarzem eskorty.

Druga naiwność. Generał Langner też pertraktował i co z tego wynikło?

Dziś wieczorem stawało się coraz cięższe. Utrudzone nogi odmawiały posłuszeństwa. Miejsca na siedzenie lub ~~leżenie~~ leżenie nie było. Godziny wlokły się niemilosierdzie długo. W końcu zaczął robić się świt.

Przez wysoko umieszczone, małe okienka wdarł się ranek i oświetlił blade twarze stłoczonej gromady.

Brudne spocone twarze, zmięte mundury i tylko, jak na ironię błyszcząły szlify oficerskie. Tylko one nie uległy zbrukananiu.

Wszystkie spojrzenia skierowały się na zamknięte wrota. Przewodniczący wyłonionej delegacji ostrzegał, by nie było żadnych ekscesów, oburzeń, czy buntów.

- Muszą z nami rozmawiać. Wyjaśnić to fatalne nieporozumienie i winnych pociągnąć do odpowiedzialności. Ile naiwności i nieuzasadnionej wiary było w słowach tego starszego oficera. On szukał winnych po stronie enkawudystów z Kremla?

Winni byliście wy, bo na wyższych ramionach błyszcząły srebrne gwiazdki, znamiona władzy, która ciemniżyła naród. Tak moi panowie. Oficerowie w ustroju kapitalistycznym, są klasa ciemniźcyeli, w ustroju komunistycznym, to obrońcy narodu. Tak należało myśleć. Takie stawiać kryteria. Uczcie się nowej filozofii opartej na murzyńskiej moralności: Jak ja chcę zjeść Sambo to dobrze, ale gdy Sambo chce zjeść mnie, to zło.

Nadszedł wreszcie upragniony i długo oczekiwany moment. Żelazna brama zaczęła zwolna otwierać się. Do wnętrza wdarł się strumień świeżego powietrza i jasność jesiennego dnia.

Zwolna tkum oficerów wyszedł na dziedziniec, okolony dokoła siatką drucianą, za którą widać było krasnoarmiejców, z karabinami gotowymi do strzelania. Na dziedziniec wszedł komisarz i dwóch oficerów. Nasz pułkownik wystąpił do przodu, z zamiarem wyrażenia opinii o całym incydencie, o zerwaniu warunków umowy i zniewadze, która spotkała polskich oficerów.

Komisarz przerwał mu pogardliwym ruchem ręki i wótód grobowej ciszy oświadczył:

- Od stawiania pytań i żądań jestem ja. W imieniu władzy sowieckiej oświadczam wam, że od tej chwili staliście się jeńcami wojennymi i każda niesubordynacja będzie traktowana, jak na froncie, sądem wojennym. Przy wszelkich próbach ucieczki, żołnierze użyją broni, bez uprzedzenia. Jeżeli wśród was są podchorążowie, lub podoficerowie, nich wystąpią. Wystąpiło trzech i natychmiast zabrano ich z dziedzińca. Co stało się z nimi, nie wiadomo. Może puszczono ich na wolność?.

Tragiczna ironia losu. Zostali jeńcami armii, z którą żaden z nich nie walczył i o pojawieniu się jej w granicach państwa polskiego nie myślał.

Wyprowadzono internowanych na szosę, ustawiono czwórkami, otoczono strażą i pognano na wschód.

Po kilkogodzinnym marszu przerywanego krótkimi postojami, zeszli z szosy na polne drogi.

W tym tragicznym w nieznane marszu, internowani zatracili kierunek. Nie wiedzieli, gdzie ich prowadzą i co ich czeka na końcu tej drogi?

po całodziennym marszu, po wyboistych drogach, zatrzymano się na dłuższy odpoczynek. Nadeszła noc. Starsi i słabsi legli pokotem na czarnej ziemi, a silniejsi zaczęli szukać po zagonach, mając nadzieję, że znajdą coś do jedzenia, ale świążno zrana rola nie mogła dać niczego co można by zjeść.

Spadł nocny chłód, rosa i mgła. Byłem w lekkiej oficerskiej bluzie, jak również pozostali oficerowie. Przecież szli na dopełnienie małej formalności, a nie na długą podróż.

Zimno zmuszało ludzi do ruchu. Bili rękami zmarznięte ciało, by wlać w nie trochę zbawczego ciepła. Z utęsknieniem czekali brzasku, promieni słonecznych, by wlały w zmarznięte ciała odrobinę słonecznego ciepła. Puste żołądki i wielogodzinny marsz osłabiły i usztywniły mięśnie i każdy ruch wypruwał resztki sił. Nastąpił wreszcie długo oczekiwany dzień. Większość oficerów z trudem podniosła się z ziemi. Ruszyli dalej. Mijały ich grupy i grupki polskich żołnierzy. Wszyscy bez broni i pa-sów głównych. Oni na swój sposób byli szczęśliwi. Wracali do swych ognisk domowych. Oddawali oficerom co mogli: chleb, konserwy, płaszcze. Należałem do tych szczęśliwców, któremu dostał się płaszcz, który ofiarował mi przechodzący kapral. W tych transakcjach konwój nie przeszkadzał. Dobrnęli wreszcie do jakiejś wioski ukraińskiej, gdzie zatrzymano się na dłuższy czas, na tak zwanym omentarzu przycerkiewnym. Był on otoczony niewysokim murem.

Może przed wiekami, w tej małej cerkiewce, polski szlachcic, Rusin z pochodzenia, wiary grekokatolickiej lub prawosławnej, modlił się w niej razem ze swoimi kozakami i mołojcami, za wielkość Rzeczypospolitej, której byli wiernymi obywatelami, a gdy zaszła potrzeba szli gromić zapędy Turków lub Tatarów. Były to jednak dawne, niezapomniane czasy. Teraz stosunki zmieniły się.

Na widok jeńców polskich zbiegła się cała wieś i ~~szła~~ obła upust swej nienawiści do Lachów. Posypały się grudy i kamienie, a wszystko przy akompaniamencie wznawy, ryku i steku wyzwisk pod adresem jeńców.

"Riszaj Lachiw" bawmiało dokoła i znowu zaczęły sypać się kamienie. Popłynęła krew z odniesionych ran, a konwój w milczeniu, razem z komisarzem patrzyli na ten pogrom. Może to była dla nich zabawa, a może pośrednia forma znęcania się nad oficerami. Widać jednak, że ta zabawa n nudziła się im, gdyż zaczęli przepędzać rozpasany tłum.

Strach było patrzeć na wykrzywione nienawiścią twarze mężczyzn, kobiet i podrostków. Z oczu ich biła żądza krwi. Odpędzany tłum dalej wyprowadził swe dzikie harce.

Umiejętnie prowadzona przez popów propaganda antypolska, podsycana przez obce agentury wydała krowe owoce, których ofiarą padło tysiące rodzin polskich.

Ci sami Ukraińcy, którzy dostali się w łapy NKWD szukali w więzieniach, w łagrach stalinowskich bratniej duszy, która podtrzymała by ich na duchu. I nie popi, nie ludzie spod znaku piątej kolumny, a zniemawidzeni Polacy byli ich duchowymi pokrzepicielami. W kąć poszły niedawne urazy. Polak stał się dla nich bratem i przyjacielem.

Do godziny postoju ruszyli dalej i przez długi czas tej krzyżowej drogi towarzyszyła im banda rozpasanych mołojców i grad kamieni. Od tego momentu prowadzono ich tylko polami, omijając wsie i osiedla. Zapewne się siepacze mieli nakaz, by doprowadzili towar w żywym stanie. Niektórzy oficerowie byli przekonani, że karawana nieszczęśników kluczy, kręci się w koło. Może tak było w rzeczywistości. Kręceno się w koło, bo nie było dyrektyw, nie wiadano co z jeńcami zrobić.

Mijały dnie i noce, a karawana ciągle w drodze, narażona na zimno i głód. Jedynym pożywieniem były surowe buraki, kapusta i ziemniaki, które wykopywano w czasie postojów.

Mniej wytrzymałi zaczęli padać. Nie mieli sił do dalszej wędrówki. Zostawali w tyle. Krzyki i groźne gesty ze strony konwoju nie wiele pomagały. Padali i zostawali. Co z nimi stało się, Bóg raczy wiedzieć.

Silniejsi organizowali pomoc słabszym, ale i sami czuli się nie lepiej. ~~Przypomagałem~~, jak tylko <sup>mógł</sup> majajorowi Majewskiemu, który coraz bardziej opadał z sił.

Jeden z postojów wypadł na małej stacji. Na torach stało kilka rozbitych wagonów. Rzucili się na nie zziębnięci i przemoczeni ludzie. Zaczęli wykamywać deski i rozpalali ogniska. Ogród droźnika poszedł w strzępy. Wyrwano wszystko, co mogło służyć jako jedzenie. Droźnik kolejowy patrzył na to wszystko ze stoickim spokojem. Może nie był właścicielem splądrowanego ogródka, a może rozumiał sytuację zgłodniałych ludzi.

Już piąty dzień trwał ten marsz w niemiłe. Maruderów coraz więcej i gromada topniała. Obelgi, głód, grabieże ze strony konwojentów, to chleb codzienny nieszczęśników. Najbardziej pożądaną rzeczą dla tych żółdków były zegarki. Polowali na nie, jak kot na mysz.

Przypędzili ich wreszcie do większej stacji kolejowej. To Ghodorów miasto, w którym jest duża cukrownia. Na stacji czekały na jeńców wagony osobowe. Oficerowie wpakowali się do nich z radością. To przecież dach nad głową i ciepło.

W wagonach ciasnota. Przepelnienie w przedziałach i na korytarzach. W przedziale przeznaczonym na osiem osób, jest ich przeważnie po dziesięć. W jednym przedziale są ze mną major Majewski i kapitan Szyba. Trzymamy się razem. Upchali się w dziesiątkę na twardych ławkach i czekali cierpliwie na początek jazdy. Nikomu z nich nie przyszło do głowy dokąd powiezie ich pociąg.



Przemoczone mundury, przepełniona bielizna zaczęła wydzielać z siebie nieprzyjemną woń, ale powonienie pasażerów było nieczułe na te zapachy. Dominowała radość, że są w ciepłych wagonach, nie leje za kółkiem. Inne sprawy nie miały do nich dostępu.

Po pierwszych wrażeniach i zadowoleniu się, pasażerowie chcieli wyjść z wagonów, ale konwój nie pozwalał. Słychać ciągle: Nie lizia, Strelat budu. Wrócili więc do swoich kojców i przez okna chcieli pertraktować. Domagali się komisarza. Nikt nie reagował na te protesty i okrzyki. Straż była głucha, jak pień. Zapadła noc. Lokatorzy przedziału ułożyli się do snu. Po dwóch leżako na podłodze, ławkach i po jednym na półkach. Dla pozostałej dwójki zabrakło miejsc. Jeden z nich stał w drzwiach, a drugi przy oknie. Co jakiś czas następowała zmiana. Starsi korzystali z pewnych względów. Młodszy musiał cierpieć dłużej. Na korytarzach podobna ciasnota. Drzeźniali w tym tłoku i smrodzie czekając na odjazd pociągu. Przyszła kolej na zmianę stanowisk. Wolno zlązkiem z półki, by nie nadeptać śpiących. Zdrętwiałe mięśnie i obolałe boki nie ułatwiały tej mimowolnej gimnastyki. Po tych akrobatycznych wyczynach z należkiem się w kojcu na podłodze <sup>na podłogę i s. tanajem</sup> pomoc zmienikowi zająć miejsce na półce przy otwartym oknie. Zdała dochodziły pomruki nadchodzącej burzy. Zerwał się wiatr, przynosił ulgę. Trzeba było zamknąć okno, gdyż strunienie wody dostawały się do przedziału. Ulewa coraz bardziej wznagała się. Oparłem głowę o tafel szyby, co sprawiło mi pewną ulgę. Po drugiej stronie tafli spływały strugi deszczu. Szalejąca ulewa, szum porzywistego wiatru, wprawiały mnie w minorowy nastrój. Odnosiłem wrażenie, że to płynące strugi łez z oczu umęczonego narodu polskiego. Za czyje i jakie winy musi cierpieć, gdy inne narody w błogim nastroju pędzą swój ziemski żywot?

Nagle myśli moje pobiegły ku rodzinnej domowi. Przed kilkoma dniami wyszedłem z niego i zginąłem bez śladu. Jak musi cierpieć żona zżerana naszymi myślami. Jej to wprawdzie w rodzicielskim domu, ale to nie rozprószy ponurego nastroju i lęku o los męża.

Zamknięte okno zagęściło atmosferę w przedziale, a jękliwe podchrapywania śpiących jeszcze bardziej skłaniały do ponurych myśli.

Wstał, blade, deszczowy dzień. Zwlekli się pasażerowie ze swych niewygodnych łóżek, prostując i masując obolałe kości. Nikt nie miał ochoty do rozmowy. Każdego z nich gnębiła innego rodzaju chandra.

Sen chwilowo uciszył puste żołądki, ale po nocnej drzemce, uczucie głodu wystąpiło ze zdwojoną siłą. Kłyszki grały marsza, a pociąg ciągle stał. Nie ma zapewne dyrektyw i trzeba uzbroić się w cierpliwość. Dotychczasowe wydarzenia nie wróżyły niczego dobrego. Pocóż więc śpieszyć w nieznaną przyszłość? Przyjdą dyrektywy z Moskwy, to bieg wypadków potoczy się dalej.

Z przednich wagonów donosili, że nie ma parowozu. Są coraz czystsze objawy zachorowań, utraty przytomności i głośniejsze stają się jęki leżących w gorączce. Beznadziejność sytuacji doprowadza wszystkich do ostateczności. Kłasyki "komisarz" potężnieją. Odnosi to pożądaną skuteczną. Zjawił się ten, który w swych rękach ma życie całej gromady. Stanął przed wagonami i zaczął mówić:

- Panowie oficerzy. Bądźcie cierpliwi. Czekamy na dyrektywy z Moskwy.

Ta rozmowa przez okno, gdy wszyscy mówią nie mogła doprowadzić do żadnego rezultatu. Nastąpiło opamiętanie. Zaczęli pertraktować ci, którzy znali język rosyjski, ale i to nie dało rezultatu. Żadne racje nie przemawiały do tego, zakutego żaba. Skuchał pilnie, by w rezultacie, aż do znużenia powtarzać to samo.

- Moskwa wsio znajet.

Zrozumieli wszyscy, że on jest małym kółeczkiem w maszynie NKWD i jego rola ogranicza się do tego, by nikt nie uciekł. Wie tyle co my, których pilnuje. Czekają na dalsze rozkazy i koniec.

Drugiej nocy pociąg niespodziewanie ruszył. Na dachach wagonów pojawili się krasnoarmiejcy, z bronią gotową do strzału. Czatowali na amatorów ucieczki.

Pociąg sunął powoli. Zatrzymywał się między stacjami. Często był stawiany na boczny tor. Stacje nieoświetlone, puste i w mrokach nocy trudno odczytać ich nazwy. Czasami pociąg wracał w kierunku Lwowa. Nie wiedzieć po co to kręcenie w koło? A może tak na zyskaniu na czasie? Czekają na dalsze rozkazy.

Znowu jest dzień, jasny, bezchmurny. Ludzie wolni, nie zamknięci w dusznych klatkach, cieszą się resztkami ciepła i piękna jesieni, ale tu, w smrodliwej zadusze, z pustym żołądkiem i w beznadziejnej sytuacji, nie było miejsca na podziwianie piękna jesiennego dnia.

Niespodziewanie pociąg stanął na małej stacji, której nazwa uleciała mi z pamięci. Wśród konwojentów ożywienie. Słychać ciągle powtarzane słowa: Wnimanie, wnimanie / uwaga, uwaga/. Wszyscy pchali się do okien. Każdy chciał widzieć i słyszeć. W myśli błysk chwilowej nadziei .....

A może? Nie z tego. Tu nie ma mowy o żadnym "może"

Przed wagonami stanął komisarz, w długiej prawie do kolan sięgającej wlnie wojskowej, w butach w "harmoszkę" przpasany pasem, z którego wisała kabura z pistoletem.

- Kto rozumie po rosyjsku niech wyjdzie z wagonu?

Wyszło dwóch oficerów, kapitan i porucznik. Komisarz coś im tłumaczył, gestykulował i zsuwał czapkę na tył głowy. Oficerowie pilnie słuchali i kiwali głowami na znak, że rozumieją. Skończyły się wreszcie narady i tłumacze podszli bliżej wagonów. Zrobiła się cisza. Wszyscy czekali

w napięciu wiedząc, że dowiedzą się o czymś, co może polepszyć ich dolę. - Proszę panów- zaczął kapitan -towarzysz komisarz w- czuwając się w naszą sytuację, zwłaszcza w żołądkowe sprawy zezwala wybranym delegatom udać się do pobliskiego miasteczka, by zakupili tam konieczne rzeczy. Każdy wagon wybierze jednego delegata. Ewentualna ucieczka tegoż grozi zdziesiątkowaniem oficerów, którego uciekinier jest delegatem.

W wagonach nastąpiły gorączkowe narady.

Wydelegowani ruszyli natychmiast. w towarzystwie jednego czerwonoarmiejca, który nie posiadał broni.

Po kilku niecierpliwych godzinach oczekiwania, przed wagony zajęchały fumanek wykładane żywnością. Radość w wagonach ogromna. Wszyscy wybiegli do fumanek, nie bacząc na groźne lufy karabinów.

W mgnieniu oka cały ładunek z nalazł się w wagonach. Ciasnota miejsca jeszcze bardziej zwiększyła się. Jedli wszyscy bez wyboru. Już nie uczta, a prawdziwa bachanalia. Zwolna fala nadmiernego apetytu zaczęła opadać. Niektórzy wyrazili obawę, że takie obżarstwo, po długim poście, może okazać się fatalne w skutkach.

Nasycone żołądki zaczęły działać na samopoczucie, które gwałtownie polepszyło się.

Ach, gdyby tak można było umyć brudne i przepoczone ciało lub wykapać się? Zaspokojony głód budził inne potrzeby ciała. Na refleksje nie było jeszcze miejsca.

Nagle pociąg ruszył z miejsca i zaczął nabierać szybkości. Odezwały się głosy niepokoju.

Jedziemy na wschód. Oddalamy się od Iwowa.

Pociąg minął parę stacji i zatrzymał się na dworcu w Stanisławowie.

Wśród kolejarzy i przygodnych podróżnych poruszenie.

Wiozą naszych oficerów. Na tak alarmującą wiadomość, tłum coraz bardziej rośnie. Oddzielał go od pociągu stęgły żołnierz i wolny tor.

Między internowanymi i zgromadzonym tłumem zaczęły się gorączkowe rozmowy. Z tłumem zaczęto rzucać ręczniki, mydło i inne rzeczy, jak papier i ołówki. Obdarowani zaczęli pisać listy do swoich najbliższych, które wędrowały do rąk przypadkowych listonoszów.

Napisałem i ja trzy karteluszki, z których żaden nie dotarł do żony.

W tej całej akcji konwój nie przeszkadzał. Może obecność tak licznych tłumem wstrzymywała ich od interwencji. Chcieli zapewne zachować pozory.

Niektórzy oficerowie wyszli z wagonów i rozmawiali z tłumem.

Wyszedłem i ja, wolno przechodząc wzdłuż wagonów. W oczach kobiet widać było żzy. Gdzie spojrzeć kochane twarze rodaków, pełne bólu i depresji. Nagle ogarnął mnie wstyd. Komu potrzebna ta defilada brudnych, zarosnię-

tych cieni w mundurach. Zły na siebie chciałem powrócić do wagonu, gdy nagł-  
dworcem targnęła pieśń " Z dymem pożarów ", a z całego tłumu emanowała  
przeogromna siła narodu, który wiele wycierpiał, ale u kresu cierpienia  
spodziewa się lepszego jutra.

Do głosów z tłumu dołączyły głosy oficerów, którzy stojąc na baczność  
czuli, jak siła wzruszenia ścisła im gardła.

Słowa " Do Ciebie Panie bije ten głos " wywołały szloch u kobiet.

Słowa pieśni potężniały i wydawało się, że rozpierają przestrzeń peronu,  
by znowu niżyc się ku ziemi i kruszyć wszystko co stało na ~~je~~ drodze.  
Z tłumu bił ból i ogromny niepokój, że to co powstało po latach niewoli,  
może rozpaść się w gruzy, że znowu zalegnie długa noc niewoli.

Wszystko i wszyscy zespolili się z akordami pieśni, a nawet skośnookie  
twarze strażników zastygły w zdziwieniu i uległy czarowi tej przogromnej  
boleści. Pieśń przebrzmiała, a jeszcze długo cały peron zalegała martwa  
cisza. Kobiety tuliły w dłoniach zapłakane oczy, a mężczyznom ścisnęła  
gardła spazm bezsilności.

Uniesienie zwolna opadło. Tłum wrócił do rzeczywistości. Peron znowu za-  
pełnił się gwarem rozmów, a strażnicy przypomnieli sobie swoje obowiązki  
i zaczęli pokrzykiwać swoje " Nie lźia, kuda "

Nagle na wolny tor oddzielający tłum od internowanych zaczął wtaczać  
się powoli, pusty, osobowy pociąg. Zrobiło się zamieszanie i gdy parowóz  
był przede mną, skoczyłem na drugą stronę toru. Uczynił to za mnie instynkt.  
Nieznany mi pan narzucił na mnie prochowiec, a tłum rozstąpił się i za-  
knął za mną. Nieznajomy trzymając mnie pod rękę, skierował ku wyjściu.

Znaleźliśmy się na ulicy. Dokoła nas ruch. Pełno sowieckich żołnierzy.  
Moja zarosnięta twarz ~~śeśe-iaśe-~~ i oficerskie buty mogły wzbudzić podejr-  
zenie. Nieznajomy uspokoja mnie. Zaraz będziemy w bezpiecznym miejscu.  
Skręciliśmy w boczną ulicę. Tu ruch mały. Po kilkudziesięciu krokach wsz-  
liśmy do bramy, a następnie na pierwsze piętro. Na głos dzwonka, drzwi  
otworzyła młoda pani.

Znalazłem się w środku. Mieszkanie czyściutkie, a ja brudy, zarosnięty  
muszę dobrze ~~ca~~ cuchnąć. Czuję się źle i głupio. Nie znam tych ludzi.  
Jestem cały pod wrażeniem udanej ucieczki. Gospodarze dobrze wyczuli mój  
stan

- Proszę nie krępować się - mówił uprzejmy gospodarz. Zaraz przygotujemy  
kąpiel i jakieś stare ubranie, bo teraz najbardziej popłaca gra na pro-  
letariusza. Czysty kołnierzyk i kapelusz na głowie pachnie burżujem,  
a to z kolei pachnie czym innym.

Jaki olbrzymi przeskok z jednej, beznadziejnej sytuacji w drugą, związaną  
z wolnością. Przed kilkunastoma minutami siedziałem w cuchnącym wagonie,  
bez szans na zmianę tragicznego losu i nagle znalazłem się w innym otoc-  
czeniu, wśród ludzi wolnych.

Nie zdobymem się na próbę ucieczki w czasie marszu po barykadach i ciemnych ulicach Iwowa. Tam instynkt samozachowawczy spał, a rozum wtórował mu w tej bierności, a teraz dobra opatrzność<sup>c</sup>, czy też dziwny zbieg okoliczności dały mi radykalną zmianę położenia. Czy można wobec tego mówić<sup>c</sup>, że człowiek sam tworzy swój los, że tylko jego działalność<sup>c</sup> daje w rezultacie to co sam stworzy?

Zwolna nastąpiło odprężenie. Czujęm się pewniej, bardziej sobą, a to dzięki gospodarzom. Rosła radość<sup>c</sup> i świadomość<sup>c</sup>, że jestem wolny, uratowany. Kąpiel gotowa. Odniosłem wrażenie, że całe wieki nie brałem kąpieli. Jak ona orzeźwia? Wraca utracone siły. Zrzuca balast brudu i potu. Pod jej wpływem stałem się sobą.

Wykapany, ogolony, w czystej bieliźnie i przydługawej piżamie gospodarza, powróciłem do pokoju. Nastąpiła obopólna prezentacja. Teraz rozmowa nabiera innego polotu.

Mój wybawca nazywał się Jan Wierzbicki. W gorących słowach podziękowałem mu za wybawienie z tragicznej sytuacji.

Zasiedli do suto zastawionego stołu. Oczywiście moje nie mogły napatrzeć<sup>c</sup> się tym kulinarnym frykasem.

Pani domu, z miłym uśmiechem zachęcała do spożywania tych darów bożych. Gdzie te czasy, gdy głód niemilosiennie ścisnął żołądek lub ostatecznie, gdy jadło się brudnymi paluchami, na stojąco, w ciasnocie i zadusze. Kontrast olbrzymi i trudno uwierzyć<sup>c</sup>, że to niedawne istniało. Lecz fala niemiłych wspomnień zwolna ucichła, bo zapach potraw nęcił i wzmagał apetyt.

Do sutoj kolacji, na prośbę gospodarza opowiedziałem o tragicznych przeżyciach ostatnich dni. Nie chciano wierzyć<sup>c</sup> w przewrotność<sup>c</sup> sowieckiej władzy. W oczach gospodarza pojawił się lęk i nieme pytanie: Czy i po nas mogą sięgnąć<sup>c</sup> te bezwzględne ręce? Niedaleka przyszłość<sup>c</sup> pokazała, że mogą. Że tysiące bez winy starców, kobiety i dzieci wrywane nagle z rodzinnych pieleszy, ładowano do nie opalanych, bydłowych wagonów i w ciasnocie smrodzie i głodzie wywożono na daleki Sybir.

Ewardy sen, w pachnącej pościeli zakończył pewien etap mego życia.

Wrzesień 1939 rok

© ARCHIWUM WSPÓLNE

Po zakończonym śledztwie w sztabie NKUB przy Placu Smolki we Lwowie, zostałem odstawiony do więzienia na Zamarystynowie.

Po zakatwieniu formalności przyjęcia oddano mnie w ręce strażnika który zaprowadził mnie do pomieszczenia, które było prymitywną łaźnią. I o dziwo pracowały w niej kobiety. Jedna z nich kazała mi rozebrać się. Oczekałem aż kobieta wyjdzie. Ta tymczasem podała mi trochę łazne kółko, coś w rodzaju obręczy i wytłumaczyła, że mam na nie nawet wszystkie swoje rzeczy, łącznie z bielizną. Obręcz można było rozwinąć i zamykać. Przed odejściem, kobieta dała mi kawałek mydła. Zrzuciłem z siebie wszystko i zacząłem nawlekać swe brudne rzeczy, a tymczasem weszła kobieta i zabrała wszystko z kapeluszem łącznie. Myjąc się byłem zażenowany obecnością kobiety, ale to było tylko preludium do dalszej niespodzianki.

Szorowałem skórę aż stała się czerwona. Starałem się zmyć z niej długo gromadzony brud. Gdy skończyłem otworzyły się drzwi i inna kobieta weszła do środka mówiąc:

- Zachadzi i ręką, wskazała na otwarte drzwi.

Jak miałem wejść, gdy kobieta stała we drzwiach? Ja byłem zaś w stroju adamowym.

Stanąłem bokiem, nie ruszając się z miejsca i będąc przekonany, że to jakieś nieporozumienie, że zwrócą mi odzież lub dadzą więzienną.

Zniecierpliwiona kobieta huknęła ze złością:

- Głuchy jesteś, czy co? Właź do środka.

Zakrywając dłonią emblematy pęci wszedłem do środka wąskiego pomieszczenia. Stały tam trzy kobiety, z których jedna wskazała mi taboret i kazała usiąść.

Biedak nigdy nie sądził, że jeden nagły mężczyzna może znaleźć się w otoczeniu tuzech ubranych kobiet, o ile te kobiety można było nazwać kobietami. Może kiedyś były ładne, pełne wdzięku, ale wojna starła z nich, z ich oblicza wszystkie znamiona kobiecości. Waleczyły na froncie. Spały razem z żołnierzami. Zrobiono z nich materace, na których spał kto chciał. Odarto je ze wszystkiego co kobiece. Pozostało tylko fizyczne ludzkie mięso. To było pokłosie wojny. Dobre hasło " Największym dobrem to osłowiek " stało się pustym fraszem, sloganem, któremu nie dało żadnej wartości. Osłowiek stał się narzędziem, środkiem do celu.

Czy pamięta ktokolwiek o tych, którzy budowali piramidy, o tych tysiącach, a może setkach tysięcy niewolników gnanych wolą despoty do budowania piramid? Nie pozostały po nich nawet bielejące kości, a piramidy stoją u głośną chwagę ich twórców.

Piotr Wielki pędził tysiące chłopów w błota Nowy, by postawić sobie pomnik w postaci miasta swego imienia. Miasto stoi a o ofiarach rosyjskiego despoty nikt nie mówi, nie myśli, nie pisze. Stalin przebudował swoje imperium tworząc wielkie aglomeracje przemysłowe, przy użyciu milionów więźniów trzymanych w obozach pracy. Cały obszar jego imperium jest pokryty kośćmi tych niewolników dwudziętego wieku, a cały świat był przekonany, a właściwie wmówiano mu, karmiono bajką, że to efekt entuzjazmu komunistów i świat w to wierzył, a o ofiarach nie mówił nikt.

Byłem tak zaskoczony wytworzoną sytuacją, że całą swoją uwagę zafundowałem na zakrywaniu znamion pęci. Siedziałem na taborecie czekając cierpliwie, co dalej będzie. Kobiety nie zwracały na mnie żadnej uwagi, zajęte rozmową i paleniem papierosów. Po dłuższej chwili jedna z nich podeszła do amatora kąpielni i zaczęła strzyć mu włosy na głowie, a następnie na brodzie, która wyrosła, jak u prawosławnego popa. Po tej operacji kazała mi podnieść jedną rękę, a następnie drugą wygalaając włosy pod pachami. Teraz nastąpił kulminacyjny punkt więziennego rytuału. Kobieta kazała mi wstać, co ~~wn~~ uczyniłem z pewnym wahaniem, trzymając ręce na podbrzuszu.

- Zabierz łapy - rozkazała kobieta.

Popatrzyłem pierwszy raz w jej oczy, w których, jak i w całej twarzy życie stało to wszystko co miało znamiona kobiecości, a może i człowieka. Patrzyłem na nią i wolno podniosłem ręce. Zanim zdążyłem zorientować się o co chodzi kobiecie, ta chwyciła mnie za znamiona męskości a drugą ręką, w której trzymała brzytwę, zaczęła golić włosy. Stałem nie ruchomo, jak przysłowiowy szup soli, bojąc się drgnąć, by nie nastąpiła niezamierzona kastracja. Kobieta goliła fachowo, obracając końcem członka na wszystkie strony.

Mieniłem się na twarzy wszystkimi kolorami tęczy, w czasie tej, całej operacji. Kobieta spojrzała na mnie, a widząc moje zmieszanie i głupią minę rzekła uspakajająco:

- Nie bój się. Nie takie widziałam?

Gdy skończyła, stuknęła mnie kułakiem w brzuch i rzekła - gotowo.

Uciekałem z tej prymitywnej fryzjermi, jak gdyby goniony za mną furie, a za mną leciał rubaszny rechot.

Na ławie leżała moja odzież. Podbiegłem do niej i chwyciłem za obręcz, ale opuściłem ją natychmiast, gdyż piekła palce. Teraz dopiero zrozumiałem do czego zmierziała ta cała operacja. Odzież i bielizna były w skrynej odwszalni, której krążyło wiele anegdot. Ten cały zabieg nazywano "sanobtabotką" /higieniczny zabieg/

Wdzykałem na siebie bieliznę, której nie zmieniałem od kilku miesięcy i o dziwo, do tej pory nie byłem zawasziony.

Ostrzyżony, ogolony na wszystkie strony, oraz wymyty znalazłem się w nowej celi, która była przeznaczona na kwarantannę. Pomieszczenie było dość obszerne, bez żadnych sprzętów prócz słynnej paraszy królującej w rogu celi. Smród bijący od niej tamował oddech. W celi było kilkunastu więźniów, z których część spała, jeden chodził po celi, a pozostali siedzieli na podłodze. Powitałem obecnych, a jeden z nich na dźwięk polskiej mowy wstał z podłogi i podszedł do mnie.

- Pan jest Polakiem?

- Tak, odparł zapytany.

Chłopak mógł mieć około siedemnastu lat. Był średniego wzrostu, szczupły o miłej chłopięcej twarzy i bystrych, ciemnych oczach.

- Pozwoli pan, że usiądziemy. Tu jest moje miejsce, a obok wolne. Może je pan zająć.

Usiadłem na wskazanym miejscu i rozglądałem się po nowym otoczeniu. Wszyscy mieszkańcy celi to ludzie młodzi, których wiek nie przekraczał dwudziestu paru lat. Dwóch z nich wyglądało na miśszczuchów, a pozostali byli ubrani po wiejsku. Wszyscy patrzyli na nowego lokatora, który wzbudził ich ciekawość. Piedzący obok mnie chłopak kręcił się niespokojnie czekając, kiedy ciekawość rodaka zostanie zaspokojona i zajmie się jego osobą. Z zachowania chłopca można było wywnioskować, że ma wiele do opowiadania i z niecierpliwością czekał, by mógł przede mną otworzyć swą duszę, poddaną w tak młodym wieku, ciężkiej próbie czasu.

- Wie pan - mówił chłopiec. Jestem tutaj piąty dzień, a przywiźli mnie tutaj z Łąckiego. W czasie przepędzania hitlerowców ze Lwowa pełniłem funkcję łącznika. Przed dwoma miesiącami sąsiadka Ukrainka doniosła do NKWD, że widziała mnie z białoczerwoną opaską. Przeszedłem wiele na śledztwie. Obecnie siedzę tutaj i czekam na wyrok.

Co miałem temu chłopcu powiedzieć? Kamić go kłamstwem i ukarać? Czy powiedzieć mu całą prawdę, co czeka takich, jak on?

Mieszkał na Sygniówce, przedmieście Lwowa, a nazywał się Rybak. Opowiadał wszystko o sobie, o rodzinie, a najwięcej o siostrze Jadzi. Wyznania te sprawiły mu ulgę. Po samotnej walce z siepaczami Berii miał okazję do podzielenia się przed rodakiem ze swoich trosk. Czuł się obco i zagubiony w tym, przymusowym otoczeniu, gdy leżeli obok siebie szeptał mi, że Ukraińcy nie robili mu niczego złego, ale patrzyli na niego wrogo. Teraz spał obok rodaka, czując się bezpiecznym. Kosmyk jasnych włosów, lekko zadarty nos czyniły go młodszym, bardziej bezbronnym. Gorycz zalała me serce. Dlaczego tacy, jak ten chłopak cierpieli? Czy to miejsce dla takich, jak on? Zamiast siedzieć w szkolnej ławie i szerzej szerzać swój horyzont myślowy, jak inni jego rówieśnicy stanął w obronie Matki Ojczyzny. Takich, jak on było tysiące i chociaż ta Ojczyzna



nie mogła dać im wiele służyli jej wiernie. Częściej było chłodno i gło-  
dno, jak sytych pogodnych dni, a teraz oddawali w ofierze swoją krew i  
życie, które na dobre jeszcze nie rozwinęło się. Obca im była polityka, o  
przetargi wielkie tego świata. Nie myśleli o karierze, o dyrektor-  
skich fotelach, a szli na wezwanie tej, która była zagrożona, której groziło  
śmiertelne niebezpieczeństwo. I teraz spotyka ich nagroda w postaci  
pytek, więzienia i prawdopodobnie długiej tułaczki po łagrach Sybiru.  
Czy tak miałaś im płacić ojczyzno? Czy taki los obmyśliłaś dla swoich  
wiernych dzieci? Smutna to i gorzka prawda, ale nie było siły, by stan  
tragedii tych najdzielniejszych, a równocześnie tak bezbronnych mogła  
zmienić w radość i spokój.

Poranna toaleta. Dyżurni wynieśli cuchnącą paraszę. Klozet tak zafajda-  
ny, że dojdzie do sedesu po zapaskudzonej podłodze, to nielada sztuka.  
Było tu również betonowe koryto i kurek z zimną wodą. Jedni myli się  
drudzy załatwiali swoje potrzeby fizjologiczne. Trzeba było śpieszyć  
się, gdyż strażnik nie dawał wiele czasu.

Przynieśli śniadanie. Z dużego kotła wyłielali po chowali gorącej, gorz-  
kiej cieczy, która miała być kawą i po kawałku gliniastego chleba.  
Ciecz była wstrętna, a glina w postaci chleba ledwie wchodziła do gar-  
dła, ale czasy kaprysznienia dawno minęły.

Dwaj Polacy spożywali te przysmaki i czuli, że przydział był zbyt mały  
na ich żołądkowe potrzeby. Ukraińcy wyciągali ze swoich worów różnego  
rodzaju przysmaki - kiełbasę, ser, masło, pyszny chleb wiejski. Nie brali  
tego co im dawano z państwowego kotła. Więzienna strawa nie na ich żo-  
łądki.

Pierwsze zetknięcie się ze społecznością więzienną i pierwsze rozczu-  
rowanie.

Nie dziwiłem się współwięźniom. Przecież byli zawziętymi wrogami, a wro-  
gosc tej nie mogła zatrzymać kroki pobytu w więzieniu, oraz pierwszy kon-  
takt tych, którzy stali na dwóch wrogich krancach. W tych warunkach nie  
było mowy o zasadzie "wszyscy syci lub wszyscy głodni".

Ukraińcy nasycony dowoli swe apetyty zaczęli nuci swe sentymental-  
ne piosenki, by przejść następnie do swych piosenek bojowych, nacjonalistycz-  
nych, powstałych na gruncie toczącej się walki.

Gdy piosenka nabierała większej mocy, strażnik trącił pięścią o drzwi i na-  
kazywał milczenie, ale niewiele to pomagało.

Do celi wpakowano nowych więźniów. Zaczęło robić się ciasno. Wśród no-  
wych przybyszów było wielu Rosjan. Już pierwsze godziny pokazały, że wię-  
zienie dla nich to dom rodzinny. Nie byli to więźniowie polityczni lecz  
przestępcy pospolici, najgorsze szumowiny. Sam ich wygląd mówił do ja-  
kiego świata należą. Piętno przestępcy było wypisane na ich twarzach

i ubiorze oraz w sposobie prowadzenia mówienia. Szybko rozejrzeli się po celi i z miejsc, które ich zdaniem były najlepsze przepędzili ukraińskich watażków, ponaglając ich do opuszczenia miejsc kułakami i butami. Spodziewałem się ze strony prześladowanych jakiegoś oporu, wspólnej kotrakcji na brutalne zachowanie się bandytów, ale bici i popychani opuścili uszy, jak zbite psy, zabrali swoje tobozki i zajęli nowe miejsca. Było to dla mnie dużym zaskoczeniem. Ci, wiejscy chłopcy mogli imponować siłą i zdrowiem. Byli przedstawicielami tych - tu trzeba przyznać - bezpompnie nie bali się polskich, niemieckich, czy sowieckich karabinów. Każdy z nich miał zapewne na swoim sumieniu nie jedno życie ludzkie. Skłynęli z bezwzględności i okrucieństwa, a teraz zachowali się, jak stado bezwolnych baranów, poganianych nie przez rosłych pasterzy, a przez wyrzutków społecznych, zżartych alkoholem, czy też syfilisem. Patrzyłem z dumioną na to i oczem nie wierzyłem. Gdzie ci dzielni watażkowie, gdzie ich narodowa solidarność? Szybko podcięto im skrzydła. Nowe, nieznane do tej pory otoczenie zrobiło z nich bezmyślną masę. Zabrakło im popów, którzy odrzucili wszelkie normy moralne, agitowali ciemne chłopstwo, jak za czasów Chmielnickiego do bratobójczej walki. Bez nich byli bezkształtną masą, nie zdolną do samodzielnej akcji, do najmniejszego sprzeciwu, chociaż fizyczna przewaga była po ich stronie i mogli, a nawet powinni odeprzeć gwałt, gwałtem.

W tymczasem chałaśliwe męty ślały sobie legowiska, przy bacznej uwadze pozostałych mieszkańców celi. W końcu legli na swych betach, baraszkując i zapełniając celę rubasznym i sprośnym dowcipem, oraz śmiechem. Jeden z nich, wysoki, bladej, o oczach narkomana dryblas huknął na całą celę:

- Dajcie, pokurim.

Ale celi milczała.

- Tak to, nikt nie ma tytoniu?

Odpowiedzi i chętnych nie było dalej. Błatniacy /tak ich nazywano w-za w żargonie/ wstali, a dryblas podszedł do najbliższego ukraińca.

- Daj polurit!

możesz być niezdecydowany. Patrzył pytająco na swoich rodaków, ale żaden z nich nie zarządził chwili niesienia pomocy rodakowi. Zaczęła więc wolno rozwijać swój woreczek z tytoniem, chcąc z niego nabrać garstkę, ale dryblas nie dopuścił do tego. Wyrwał mu woreczek, a na dokładkę kopnął go butem. Ani uszkodzony, ani pozostali nie zareagowali na jawny rozbój. Od tego momentu zaczęły dziać się dziwne rzeczy w celi.

Każdego dnia, w porze obiadowej, wywoływano z celi tych szczęśliwców,

którym rodzina przysłała paczkę żywnościową, w rosyjskim, więziennym żargonie "peredacza". Szczęśliwiec powracał do celi z większą lub mniejszą zawartością, czasami z okazałym workiem, w którym znajdowały się różne smakołyki. Do tej pory właściciel paczki zasiadał uroczyście na swoim miejscu i z dużym namaszczeniem przeglądał jej zawartość. Często przy takiej okazji następował moment obdarowywania rodaków i ogólne mlaskanie, połączone z paleniem tytoniu. W takich momentach celi zamieniała się w obskórą palarnię. Byli też tacy, którzy z zasady nie dzielili się z nikim. Polaków żaden z nich nie próbował ugościć. Nie wiadomo, jaka reakcja była by ze strony polskiej. Zbyt świeże były wspomnienia i wzajemna wrogość.

Od momentu pojawienia się błatniaków, oni stali się panami sytuacji, właścicielami paczek. Prawowity właściciel - od tej pory nie miał nic do powiedzenia. Utrzymywał to, co nie nęciło wybrednego podniebienia grabieżców. Worek z prowiantem szedł do nich i wracał do właściciela pokaźnie uszczuplony.

Obaj Polacy patrzyli na te dziwy z pewnym zadowoleniem. Z czasem ten stan rzeczy zaczął ich denerwować, ale milczeli.

Błatniacy hałasowali, baraszkowali, grali w karty więziennego wyrobu, a pozostali milczeli. Znikła tęskna lub bojowa pieśń żołdaków.

A tymczasem błatniacy z każdym dniem stawali się bardziej brutalni. Każdy z więźniów był zobowiązany - według kolejności sprzątać lub wynosić paraszę. Błatniacy nie uznawali tej zasady. Całymi dniami i nocami grali w karty, ale grali nie dla samej gry. Grali o spodnie, buty i inne rzeczy więźniów. Wygrywający podchodził do nieszczęśliwej ofiary i żądał oddania rzeczy, która była przedmiotem hazardu. Gdy ofiara zwlekała bili ją butami. Wygrana rzecz wędrowała do rąk strażników i wracała do celi w postaci wódki, czy też innych rzeczy.

Widziałem, że coraz częściej patrzyli na moją jesionkę i inne rzeczy, ale narazie nie ruszali mnie. Rozumiałem, że taki moment gwałtu na mej osobie musi nadejść. Zdawałem sobie również sprawę z tego, że każdy opór z mej strony skończy się fatalnie. Czyż miałem ulec przemocy? Jedyna droga to współdziałanie z Ukraińcami. Jak do nich podejść? Jak przemówić im co rozsądku? Byli wrogami i to ich dzieliło.

Przypadek pomógł w tej sprawie. Jeden z inteligentów, którego Ukraińcy nazywali pan Mikko, nosił się do niego z szacunkiem, z kłienik miejsce i znalazł się w moim sąsiedztwie.

Była ciemna, burzliwa noc. Przez małe okienko w celi dochodził poszum wiatru. Zaduch w celi uniemożliwiał oddychanie. Z pełnej parassy wylewała się jej zawartość i ciemną, brunatną, śmierdzącą strugą rozlewała się po celi, co jeszcze bardziej zatrutowało powietrze. Błatniacy spali

kamiennym snem, uraczeni wódką, którą dostarczył strażnik, za zrabowane rzeczy. Pozostała gromada chrapała na wszelkie możliwe tony. Leżałem na swej jesionce, a sen nie kleił mi oczu. Nie tak wyobrażałem sobie koniec wojny. Widziałem się szczęśliwy u boku żony i córki, oddany pracy w wolnej ojczyźnie, która szybko goiła rany zadane wojną, ale nie z tych marzeń nie pozostało. Twarda podłoga celi, niesamowity smród, oraz głód stały się towarzyszami mej niedoli, były nagrodą za walkę z najzłotocą hitlerowskim, były ukoronowaniem mego życia. Gdyby chodziło tylko o mnie o moj los, to zniosłbym to, jako słuszny, czy też niesłuszny dopust Boga, ale w grę wchodziłi moi najbliżsi. Od dobrych kilku tygodni nie miałem od nich żadnej wiadomości. Czy milczeli dlatego, że podzielili moj los? Czy też nie mogli nawiązać kontaktu, a może.....i ta baysnęła iskra nadziei - wyjechali na zachód. Tam byli bezpieczni, wśród swoich.

Przeżyłem się niepokojnie i w pewnym momencie śladem. Łabe światło żarówki oświetlało twarze śpiących, którzy leżeli pokotem, jak martwi. Sen był jedynym ich ukojeniem, usuwał w cień tragiczne położenie zamkniętych w tych, grubych murach.

- Nie może pan spać - niespodziewanie dobrą polszczyzną szepnął mirko.

- Tak. Zbyt duszne powietrze i twarda podłoga nie zachęcają do snu. Zaczął się cichy dialog. Pierwsze wzajemne sondowanie, ale zwolna lody prysły. Z rozmowy wynikało, że mirko pochodził ze Lwowa i mieszkając na Dworzeńskiego. Był w domu jedyńkiem i mimo sprzeciwu rodziców uciekł do banderowców. Działali w okolicach Stryja. Przy wkroczeniu Sowietów został schwytany z bronią w ręku. Przeszedł kilka więzień. Grozi mu kara śmierci, ale po biciach, które otrzymał na Łąckiego, jest mu wszystko jedno.

Kanek przerwał ich rozmowy. Ten nowy dziomek przyniósł mi nieprzewidywany wypadek.

Jak zwykle o tej porze wypuszczali nas do ubikacji. Wstałem się przy korycie, a że ciało mocno z brudu świędziało, zrzuciłem marynarkę i koszulę, starając się zmyć zimną wodą nagromadzony brud. Na moje nieszczęście wszedł strażnik, któremu nie w smak była moja kąpiel i rzucił się na mnie z krzykiem.

- Ach ty polska mordo. Nauczę cię urządzić tutaj łaźnię? Wyprowadził mnie na korytarz i zamknął w karczerze. Cella miała podłogę betonową, oim okna bez szyb, a na dworze mróz. Mokre ciało szybko traciło ciepło. W nogi bił mocny chłód betonu. Zacząłem więc biegać po celi, by rozgrzać stygnące ciało. Wiedziałem, że tylko w ruchu mój ratunek. Ubiłem przysiady, skakankę, ale zdawałem sobie sprawę, że tak długo nie wytrzymam.

Skakankę przeplatałem marszami i tak ciągle w koło. Jak długo to trwało nie wiedziałem, a otwarte drzwi powitałem z radością. Wszedł strażnik i kazał mi ubrać się, a przed wejściem do celi rzekł:

- Nabrałeś trochę rozumu? Pamiętaj, że tu nie kurort.

Rozumu trochę nabrałem, ale dobrze, że nie chwyciłem zapalenia.

Z Mirkiem stosunki zacieśniały się. Do rozmowy został wciągnięty rybak i kolega mirka, Bemko.

Postanowiłem skorzystać z okazji.

- Proszę mi powiedzieć - rzekłem do ukraińców, dlaczego pozwalacie terroryzować się tym wyrzutkom społecznym? Przecież jest was przygniatająca większość. Każdy z was jest silniejszy od tych cherlaków, a jednak mimo tego ulegacie ich przemocy. Wasi rodacy to ludzie prości, ale wy?

spuścili głowy. Było im wstyd.

- Wie pan, rzekł po chwili mirko, zabili w nas wszystko. Nawet wiarę we własne siły.

Cała rozmowa była prowadzona w języku polskim, by błątniacy nie wiedzieli o czym mowa.

- Tak nie można - tłumaczyłem dalej. Należy zerwać z zasadą moja chałta z kraju. To was i nas zgubi. My dwaj Polacy nie jesteśmy w stanie oprzeć się im, ale razem tworzymy siłę, która może i powinna przeciwstawić się im, z gwarancją wygranej, a to położy kres grabieżom i pobiciom.

Obaj słuchali pilnie i po namyśle obiecali porozmawiać z rodakami. Janek rybak chodził coraz bardziej osowiały. Wstyd mu było przyznać się, że przyczyną tego nastroju jest głód, ale ja wiedziałem o tym dobrze. Młody organizm domagał się o swoje, ale jak mu pomóc? Nie też męczył głód, ale byłem starszy, bardziej zahartowany, a może organizm mój był mniej wymagający? Nowi znajomi może chcieli nam pomóc, ale z ich zachowania widać było, że muszą liczyć się z rodakami, z ich opinią.

Czasami podsuwałem mu coś ze swojej porcji, ale to niewiele pomagało.

Między ukraińcami nastąpiło pewne ożywienie. Szepty i grupowe narady. Mirko i Bemko zaczęli działać. Po ich minach było widać, że sprawy nabierają pożądanego obrótu. Już nie patrzyli na nas tak wrogo. Widoczne były pewne fazy grzeczności. Niektórzy przy wychodzeniu do ubikacji, czy też powrotu rzucali parę słów grzecznościowych w języku polskim. Sprawa zaczęła nabierać rumieńców.

po paru dniach, nocną porą mirko oświadczył mi, że wszyscy są gotowi do akcji, do stawiania oporu, ale pod warunkiem, że ja obejmę batutę.

Powiedzieć tak, wyrazić zgodę było łatwo, ale następstwa tego kroku, cała odpowiedzialność, a więc i represje spadną na mnie. Druga sprawa, czy można polegać na ich przyrzeczeniach? Czy nie jest to podstęp, rodzaj zemsty na znienawidzonych Łachach?

Byłem w rozterce. Rozważałem wszystko, za i przeciw, ale czy miałem inną drogę wyboru? Nie. Musi nastąpić godzina, w której dobiórą się do mnie. Zbyt lakonicznym kąskiem były moje rzeczy. Te przedmioty gwarantowały większą porcję wódki.

- Panie Mizin - rzekłem po namyśle. Dlaczego ja mam przewodzić? Dlaczego nie ktoś z was? Wy tu reprezentujecie większość i siłę. Ja mogę zaręczyć, że pójdziem z wami.

- Pan jest tu najstarszy, a po drugie, to wiara chłopów w mądrość pana, którą wpaiano im wiekami. Oni wierzą, że to co robi pan, będzie miało rękę i nogi.

- Co tu jest do myślenia? Wystarczy nie dać się dalej ogrybić, a w razie napaści zrobić im skórębranie. To jedyny argument, który może i powinien poskromić tych bandziorów.

- Dobrze to rozumiemy, ale pan musi być pierwszy, który da impuls do działania. Zapewniam pana, że postępujemy szczerze.

- Zgoda, ale gdy zacznę, wszyscy muszą zgodnie działać.

- Proszę w to nie wątpić. Niektórzy z nas palą się do tej roboty.

I nagle w momencie najmniej spodziewanym nastąpił dla mnie i dla Janka piękny dzień.

Jak zwykle w południe była pora odbierania paczek. Strażnik przez judasza wykrykiwał pierwszą literę nazwiska, a ja zainteresowany podawałem całe nazwisko. Jeżeli zgadzało się, strażnik otwierał drzwi i wręczał paczkę.

W tym pamiętnym dniu odbywała się właśnie ceremonia odbierania paczek, gdy nagle padła litera "P".

- Panie Karolu, pańska litera. - krzyknął Janek.

Ale ja nie reagowałem. Przestałem liczyć na paczkę wiersząc, że rodzina szczęśliwie wyjechała na zachód.

Janek widząc brak zainteresowania ze strony rodaka, głośno krzyknął "Prass"

- Pokuczej. Usłyszałem zdziwiony.

Gdy strażnik stanął w drzwiach z paczką w ręku i dla pewności jeszcze raz zapytał o nazwisko, zszwabiłem się i głośno je wymieniłem.

Strażnik bez słowa wręczył mi paczkę.

Obdarowany stałem pod drzwiami nie wierząc swemu szczęściu.

Radość zmieszała się z gorzycą. Są zdrowi i nie tną ich ręka berliowców. Ale dlaczego nie wyjechali? W niczym mi nie pomagają, a narażają się.

Wolno wróciłem na swoje miejsce i siadłem obok Jenka. Machinalnie zacząłem rozwijać watowany worek. Już sam widok watowanego worka mówił o wielkiej trosce żony, gdyż watowanie chroniła ciepło strowy. Gdy tak namysłony rozwijałem workowaty watniak, stanął przede mną jeden z błatniaków.

- Tu pan. Ty zapomniał, że najpierw my przeglądamy paczki?

Mówiąc to, sięgnął brudną łapą po paczkę. I cała radość, gorzycz, nadzieja i rozczarowanie ześrodkowały się w moim karku. Nie wiedziałem skąd u mnie nabrało się tyle siły. Skoczyłem, jak sprężyna. Walnąłem w bezczelny, szkodziejski przsk, aż drania rzuciło do tyłu.

W szale złości chciałem powtórzyć uderzenie, ale w celi zrobiło się istne piekło. Długo tłumiona nienawiść i doznane krzywdy zerwała się z obroży. Odrzucono mnie, jak pikkę i zaczęło się pranie. Bito bez miłośierdzia. Bił nie zahukany chłop, a zaprawiony w krawych rozprawach banderowski watażka.

Celę zapełnił krzyk: Ratunku. Mordują!

Do środka wpadli strażnicy z pałkami, robiąc porządek.

Mocno poturbowani bandyci, płaczącym głosem skarżyli się na rozbój, na zadane im cierpienia. Znikł bezczelny, arogancki sposób bycia. Wyszła z nich tchóźliwa, spodłona natura. Trafili na silniejszych, a cały ich tupet wziął w łeb. Garnęli się pod opiekuńcze skrzydła strażników, jęcząc i narzekając.

Zrobiło się znowu zamieszanie, gdyż Ukraińcy też głośno manifestowali o swoich krzywdach.

W tym ogólnym bałaganie i krzyku, trudno było dociec, co stało się i kto był winowajcą?

Strażnicy nie namyślając się długo, wzięli trzech Ukraińców i zawlekli do karceru.

W celi zrobiła się względna cisza. Nastąpiło odprężenie po eksplozji, która nastąpiła przed chwilą. Pobici błatniacy obmacywali nabrzmiałe guzy i obite boki. Kilki z nich nie mogło wstać z ziemi.

Ukraińcy powoli ostygli ze złości i wyczekująco patrzyli na mnie. Wiedziałem co to znaczy. Zaczęta akcja musiała być właściwie zakończona. Nie można było pozwolić, by przypadkowo zabrani chłopcy ponosili całą winę. Ich rodacy spodziewali się innego zakończenia.

Podszedłem do drzwi i zacząłem w nie mocno walić.

Uchylił się judasz.

- Co tam znowu - krzyknął strażnik?

- Dawaj komendanta - huknąłem na niego.

To poskutkowało. Niewolnicza natura uległa presji.

- Poczekaj. Zakryk judasz, a pozostali czekali w napięciu, co będzie dalej. Każdy z nich myślał, czym to wszystko skończy się?

Oczekiwanie przedłużało się, a napięcie rosło. Wreszcie usłyszeli tu - pot butów na kozytarzu i drzwi celi otwożyły się. Szeroko rozkroczony stał w nich komendant więzienia, szeroki w barach żołdak, o mongolskich rysach twarzy, którą specyficznymi śladami po ospie. Za nim ataka gromada strażników.

- Kto żąda komendanta i dlaczego?

- Ja - rzekłem i wysunąłem się ku przodowi.

Mongoł popatrzył na mnie świdrującym oczyma i milczał.

- Żądam sprawiedliwości i zaprowadzenia porządku, za który wy jesteście odpowiedzialni, a jeżeli nie, to urządzimy głodówkę.

- A kto ty takoj, że ogmnielasz się stawiać nam warunki?

- Warunków nie stawiam, a tylko domagam się sprawiedliwości. Jeżeli nie chcecie tego zrobić, zwrócimy się do prokuratora.

Jeden ze strażników szepnął mi coś do ucha. Komendant kiwnął głową i mówił dalej.

- Wy Polaczok, chytraja sztuka. Nu dawaj rozberion.

Opowiedziałem o całym zajściu, o sytuacji w celi, o terrorze, o pijaństwie, a na dowód wyciągnąłem butelki z wódki, które leżały w kącie zajętym przez Rosjan.

Komendant słuchał. Zmarszczył krzaczaste brwi i coraz bardziej chmu - rzył się.

- Nu, kadno. Rozberion wsio. Wyrzekł te słowa i wyszedł z celi.

Po paru minutach wrócili zatrzymani chłopcy. W celi zapanowała radość. Wszyscy cisnęli się do mnie, ściskając mi ręce.

Miko w imieniu rodaków złożył mi podziękowanie.

- Moi kochant-koledzy wspólnej niedoli - rzekłem do rozradowanej gromady. Nie ja wygrałem batalię, a wasza solidarność. Macie dowód, że siła w jedności, że nie można działać w pojedynkę, stać na uboczu, gdy sąsiadowi dzieje się krzywda. Niech ta lekcja będzie dla was nauką. O tym, że my dwaj Polacy, a wy Ukraińcy zapomnijcie. Wspólna niedola i nie - winnie przelana krew, będą tym lepszem, które zasypie dzielącą nas przepaść i pozwoli przeciwstawić się nieszczęściu, które wszystkich nas spotkało.

Po tej dość długiej oracji siadłem obok paczki, która jakimś cudem nie stała się ofiarą pogromu.

Wartość paczki, jak już mówili<sup>była</sup>, w specjalnie uszytym worku z watnia ka. Jedzenie było ciepłe. Wata chroniła przed utratą ciepłoty. Jak za - pobiegliwa i troskliwa była moja ukochana małżonka.

Między innymi smakołykami były były ruskie pierogi, moja ulubiona potrawa. Pałaszowalięmy z Jankiem, aż uszy trzęsły się. Uraczyłem również Miko, który zażenowany tłumaczył się, że dawno chciał nam pomóc, ale musiał liczyć się z rodakami, z ich opinią.



Wieczorem, gdy popijali mleko zagryzając chlebem, suto smarowanym masłem, Janek przerwał nagle jedzenie i coś wyciągnął z ust. Był to kawałek zwiniętego papieru, na którym była wiadomość od żony. Schowałem gryps i czekałem na okazję, by móc go przeczytać. Na oczach bliźniaków nie chciałem tego robić. Donos był pewny. Gdy po ogólnej uciecie wszyscy odpoczywali, kryjąc się za plecy Janka rozwinąłem gryps, w którym był grafit z ołówka, oraz pisemko. Zacząłem je czytać.

Zona pisała, że po długich staraniach i łapówkach umożliwiono jej łączność ze mną. Codziennie będzie przysyłała ciepły obiad. Jej grypsu należy szukać w środkowej kromce chleba. List do niej mam umieszczać w zagłębieniu naczyń i zalepiać chlebem.

Tak nawiązana łączność działała bez zarzutu. Brudne naczynie z moim grypsiem wędrowało do żony, a pełne od żony do mnie.

Przy pomocy żony Janek nawiązał łączność z siostrą, a życie więzienne szło swoim, fatalnym trybem.

Na śledztwo nie wolano. Kamiono pod psen, ale to ostatnie nie miało znaczenia tak dla Polaków, jak i dla Ukraińców.

Dla zabicia czasu Ukraińcy opowiadali bajki. Na ich prośbę stałem się i ja gawędziarzem. Mówiłem w języku polskim, gdyż wszyscy Ukraińcy dobrze znali ten język.

Zacząłem od kryminałów i filmów. Zmieniłem dość fabułę i zakończenie, a gdy zabrakło sensacyjnego tematu przeszedłem do literatury polskiej. Najpierw nowelki Sienkiewicza, Prusa i Konopnickiej. "Bartek Zwycięzca" wywołał żywe poruszenie.

Postanowiłem zrobić mały eksperyment. Zacząłem opowiadać swoją ulubioną powieść "Potop". Przeżycia i metamorfozę Kmicica słuchali z otwartymi ustami. Czer wielkiego pisarza udzielił się im w całej pełni. Oleńka i Kmicic wyrosli w ich oczach na bohaterów o jakich nigdy nie słyszeli. Zapytaniem nie było końca.

Po tak udanym sukcesie poszedłem dalej. Zacząłem opowiadać "Ogniem i mieczem". Kozacki wataśka i Skrzetuski, te centralne postacie opowiadania, a obok nich Podbipięta, Wołodyjowski, Zagłoba. Opowiadałem i obserwowałem fisjoganię słuchaczy. Przed ich oczyma przesuwały się krwawe buntury kozackie i tłumy. Specjalnie podkreślałem bestialskie zezie tłumy, a potem przechodziłem do wielkiej miłości Bohuna i Skrzetuskiego do Heleny. Pokwanie jej przez Bohuna. Pojedynek Wołodyjowskiego z Bohunem. Przeprawa Skrzetuskiego. I o dziwo, Sienkiewiczowskie postacie stały się ich ulubionymi postaciami, bohaterami wszystkich słuchaczy. Nie zauważyłem odruchów żalu, że zwyciężył Wołodyjowski, a Helena połączyła się ze Skrzetuskim. Magowali tak, jak tego pragnął wielki pisarz. To był jeden z wielu dowodów, że bratnie narody mogą żyć ze sobą w zgodzie, wbrew temu co sądzą politycy i szowiniści. Wytworzona nienawiść to

sztuczny twór, wraża robotę, fałszywych proroków.]

Parodia sądu i celi śmierci

Nastał dzień, w którym stanąłem przed obliczem wymiaru sprawiedliwości, w wydaniu stalinowsko-beriewskim.

Rezprawy sądowe odbywały się na terenie miasta lub w więzieniu.

Jak praktyka wykazała, to sprawy lżejszego gatunku odbywały się w nieście i często na sąd zabierano większą grupę więźniów.

Wyreki zapadające tam były lżejsze, nie przekraczające dziesięciu lat.

Jak tragicznie brzmią te słowa "nie przekraczające dziesięciu lat"

W pojęciu Europejczyka to ogrom kary, drastyczna izolacja człowieka od normalnego życia. W pojęciu beriewców to kara lżejszego gatunku.

W murach więzienia sądzono tych, których akt oskarżenia obwinał poważną ilością ciężkich zarzutów takich, jak zdrada narodu sowieckiego, szpiegowstwo, akty terreru, morderstwa.

Tu wyreki zapadały wysokie, od piętnastu lat w górę, z adnotacją "Kara będzie odbywana w dalekich łagrach Sybiru, o zastrzyżonym reżimie, z adnotacją dodatkową" zatłubić na najcięższych pracach "Skazańców tego typu nazywane "katerżnikami", którzy odróżniali się od innych więźniów tym, że mieli numery na czapkach, plecach i spodniach powyżej kolana. W tej grupie były też wyreki śmierci, którymi szafowano dość często.

Sądziła słynna beriewska trójka, składająca się z przewodniczącego sądu i dwóch ławników /figurantów/

Wyreki były z góry zaplanowane, a na sali rezpraw odbywała się tragikomedia mająca zachować pozorę praworządności.

Jak widać z powyższego nie był tam oskarżyciel publiczny, ani obrońca. Przewodniczący sądu był równocześnie sędzią i prokuratorem.

Sprawa obrońcy nie wchodziła w rachubę.

Przy oczywistej winie oskarżonego, według dostarczonych materiałów śledztwa - obrona była zbyteczna.

W najmniej spodziewanym momencie wyprowadzono mnie z celi i zaprowadzono do sali rezpraw.

Już ten fakt, że rezprawa będzie odbywała się w murach więzienia, dawał wiele do myślenia.

Sądził Trybunał Wojenny, w którego skład wchodził major, jako przewodniczący i dwóch ławników, którymi byli dwaj żołnierze w wieku dwudziestu paru lat. Była jeszcze sekretarka, która pisała protokół.

Sala rezpraw mała, bardziej podobna do celi.

Szukałem oczyma obrońców, o których wspominała żona, ale prócz wymienionych, nikogo więcej nie było. Przez chwilę ludziłem się, że na salę wkroczy obrońca, ale nadzieję moją przerwał przewodniczący, który oznaj -

nił, że eskarżony stoi przed Trybunałem Wejennym, który bezstrennie rozpatrzy sprawę i wyda sprawiedliwy wyrok. Następnie zapytał mnie, czy nie mam zastrzeżeń do składu sędziowskiego?

Oświadczyłem, że nie widzę ebreńców, którzy przysługują mi w myśl ogólnego prawa. Z tego powodu proszę o odroczenie sprawy i depuszczenie ebreńców, których zapewniła mi żona.

Przewodniczący rozkazał wyjść eskarżonemu, by sąd mógł odbyć naradę. Strażnik stojący na korytarzu rzekł do mnie: "Kiepskie u was sprawy". Po paru minutach wezwano mnie z powrotem. Komedja narady została dobrze odegrana.

- Sąd uchylił waszą prośbę - oznajmił przewodniczący. Następnie ściągnięto z eskarżonego generalia. Po zakończeniu tych czynności przewodniczący oświadczył:

- Jesteście eskarżeni z paragrafu 54 a punkt 8, 10, 11, kodeksu karnego USRR według, którego będziemy was sądzić, jako zdrajcę ojczyzny. Nie bawcie się w ceregiele. Nie zachowane nawet pezerów. Byli po to, by wymierzyć karę.

Eskarżony oświadczył, że nigdy nie był obywatelem Ukrainy, jak również nie zrzekł się obywatelstwa polskiego i dlatego z tego paragrafu nie może być sądzony.

- Wy nas nie pouczaście, a tylko odpowiadajcie, gdy was pytamy. A teraz uważajcie. Przeczytam wam akt eskarżenia.

I powtórzyła się historia ze śledztwa. Przeczytano dokładnie te same, co czytał śledczy, a czego ja nie podpisałem.

Słuchałem spokojnie, a gdy sędzia i eskarżyciel - w jednej osobie skończył, poprosiłem o dowody winy, o świadków potwierdzających materiał dowodowy.

- Dla sądu wystarczającym dowodem waszej winy jest protokół spisany przez sowieckiego śledczego. Wierzymy jemu, a nie wam zdrajcy.

- Żaden sąd nie może opierać aktu eskarżenia na wóerze, a tylko na rzeczowych dowodach i zeznaniach świadków. Wyrok jeszcze nie zapadł, a wy nazywacie mnie już zdrajcą. Czy to godzi się z powagą sądu? Wartość protokolu jest żadna, gdyż go nie podpisałem.

4- Wasz podpis nie ma żadnego znaczenia. Proszę wyprowadzić pedsadnego. Sąd odbędzie naradę.

Gdy znalazłem się na korytarzu, targała mną złość. Nie myślałem o wyroku, o całej paradii sądu, którego obraz miałem przed chwilą. Zdawałem sobie sprawę, że tu działała żelazna zasada: "Nam nużen czekewiek, a dieże najdien sami"

Chodziłem nerwowo po korytarzu, a strażnicy, którzy mnie pilnowali, patrzyli na mnie z pewnym politowaniem.

Narada trwała krótko. Strażnicy wprowadzili mnie z powrotem na salę rozpraw.

Przewodniczący i dwaj żołnierze wstali. O ściany sali odbiły się złe - wregie słowa: "Za zdradę ojczyzny, szpiegostwo, dywersję, współdziałanie z wrogami narodu ZSRR, sąd wojskowy w składzie,,,,,, na mocy paragrafu 54a oskarżonego Karola Prassa uznaje winnym zarzucanych mu czynów i skazuje go na karę śmierci. Od powyższego wyroku nie ma odwołania. Skazanemu przysługuje prawo łaski, o którą może wnieść prośbę. Skutek mi ręce i wyprowadzone na dziedziniec więzienny, a następnie do budynku, na lewo od bramy głównej. Przed nimi krótki korytarz. Wejście do niego breniła żelazna krata. Otwierzone ją ze zgrzytem. Stanęli przed celą numer 19. Była to cela śmierci. Zdjęte mi kajdanki i przez wąskie uchylone drzwi wepchnięte mnie do środka. Nowa cela. Nie pomyśl, która z rzędu. Ta różniła się od wszystkich, dotychczas poznanych, ale nie ze względu na wymiary, czy ilość współwięźniów?

### Cela śmierci

Była to cela, gdzie dobiegał kres życia ludzkiego, ostatnia droga do niebytu. Sam dźwięk "cela śmierci" budził dreszcz zgrozy u ludzi. Tam przybytek śmierci przeznaczony dla zbrodniarzy, stał się siedliskiem tych, którzy mieli odwagę stawić czoło przemocy wachodniego satrapy. Cela hańby stała się ostatnim etapem ich behaterskiego życia. Kto tej drogi nie przeszedł, nie zrozumie tragizmu tych, którzy tu przebywali spędzali ostatki swego życia, a ci, którzy tu przebywali milezą, - gdyż zanarły na wieki ich usta. Nieliczni, którzy przetrwali to piekło milezanie mają się do przekazania tego co tu przeżyli i czego byli świadkami.

Ta cela ludzi umarłych nie miała nawet okna, tylko coś w rodzaju otworu wentylacyjnego. Ten przystanek śmierci był pełen ludzi, a jednak panowała tu śmiertelna cisza. Nikt nie ruszył się na widok wchodzącego. Nikt nie spejrzał w jego stronę. Ciekawość ludzka nie miała tu miejsca. Raziła tu martwa cisza.

Pozdrowień obecnych, ale nikt mi nie odpowiedział. Byli głusi i niemi. Przestali reagować na bodźce zewnętrzne. Cóż ich obchodził cały świat, z jego dełami i niedelami, skore wykreślone ich z tego kręgu, z kręgu żywych. Siadłem na welnym miejscu pod ścianą i teraz dopiero nastąpiła reakcja. Do świadomości detarł sens wyroku i następstwa z nim związane. Posta nowione wykreślić mnie z listy żywych, usunąć jednego z tych, którzy mieli odwagę myśleć o niezależnej Polsce, o zatrzymaniu Lwowa przy Macierzy. Nie cofnęli się przed największą zbrodnią, którą popełniali w imię prawa. W ich rękach Tomida stała się "krwawą Tomidą", zerująca na bezprawiu i spełniająca ludobójcze zamysły stalinowskiego satrapy.

Im bardziej zagłębiał się w treść wyroku, tym bardziej czuł co

traci, czym kończy się jego żywot. Nie wiedział dlaczego, ale w tej fa-  
zie rozumiał nie było miejsca na strach, na przesty, ludzki strach,  
naturalny odruch każdego człowieka. Fałszem jest twierdzenie, że praw-  
dziwi ludzie nie mają poczucia strachu. Jest on u każdego, tylko jed-  
ni potrafią nim kierować, nie popadają w panikę, nie czynią gestów,  
które niczego nie dają, a tylko budzą litość lub pogardę.

Duszę swoją ogarnął przemożny żal, że wszystko kończy się, a powinno za-  
cząć. Przecież był młody, w kwiecie wieku, o szerokich planach społecz-  
nych i osobistych. Przecież nastąpił koniec panowania faszystów, a Oj-  
czyzna powstaje, by leczyć zadane rany. Przyszła nadzieja, że znów bę-  
dzie w gronie rodziny szanowany i kochany. Będzie miał dla kogo prace-  
wać i staczać epicką.

Niepokój narastał powoli, ale siła jego nacisku stała się niepokojąca,  
by w miarę upływu czasu przeobrazić się w bieżnię, które przerastało  
siły każdego człowieka. Wszystkie bliższe i dalsze zeszło na dalszy  
plan, w zestawieniu z treścią wydanego wyroku. Zaczął rozumieć grebe-  
we milczenie staczających go ludzi. Czy mogły istnieć słowa pociechy,  
wzajemne stosunki, lub człowiek, co mogło by na moment oderwać myśli  
od jednego słowa "mierć". Ostatnie godziny, czy też dni musiały ob-  
racać się tylko dookoła tego przekłętą słowa. Mogło ono na moment  
odejść, by wrócić z tym większą siłą, by wzmagać narastający niepokój,  
aż stawał się nie do wytrzymania, aż zmieniał się w strach, by w końcu  
przybrać formę strachu zwierzęcego, strachu prowadzącego do enfilady.  
Jedzenie posiłków odbywało się również w milczeniu. Nie było tu walki  
o lepszy kęs, zainteresowania czym dzisiaj karmią. Nie znali swoich gło-  
sów. Nie wiedzieli nic o sobie. Czasami skrzyżowały się spojrzenia,  
ale ich wyraz niczego nie mówił. Parasza była zabierana przez lekkie u-  
chylenie drzwi. Nikt z skazańców nie mógł opuścić - nawet na moment  
przytulku śmierci.

Najgorsze były noc, bo tylko nocą wiodli skazańców na śmierć.

Nocną porą, gdy świat ludzi wolnych był pogrążony w głębokim śnie, na  
dziedziniec więzienny wjeżdżał samochód zwany "czarny wron". O tym  
czarnym krukem krążyły wśród więźniów całe legendy, ale widzieli jego  
w nętrze tylko ci, którzy odbyli nim ostatnią drogę swego życia.

Według opowiadań rozmowa skazańców odbywała się w lesnych piaskach  
między Lwowem, a Winnikami.

Głośny, a równocześnie przenikliwy szum motoru samochodowego, czekają-  
cego na swoją ofiarę, doprowadzał skazańców do napięcia, które groziło  
zerwaniem wszelkich pęt ludzkich. Oczy wychodziły z orbit. Uszy wyczu-  
lone na najmniejszy szmer.

Ta głośna praca motoru, to jeszcze jedna perfidna metoda kaźni psy-  
chicznej.

Meter głośno pracując dawał znać, że przybył po swoje ofiary. Nerwy u skazańców napięte do ostatnich granic - granic. Serca biły, jak dzwony, ale nikt nie ruszał się, nie mówił, poruszanie się warg było widoczne. Szep - tały one ostatnie modlitwy lub wypowiadały słowa pożegnania z najbliższymi.

Szczęk otwieranych drzwi. Do celi wszedł strażnik. Drugi stał w wejściu. Strażnik, który wszedł do środka nie mówił głośno, nie wymawiał nazwiska ofiary, lecz podszedł do skazańców, którzy udawali, że śpią, i lekko potrząsał pierwszego z brzegu, niby go budził, chociaż wiedział dobrze, że tu nikt nie śpi, że w piekle tym i umarli wstali by.

Budzony podniósł wolno głowę, a strażnik pytał:

- Wasza familia /nazwisko/

I bywało tak, że przeszedł połowę celi nim dotarł do delikwenta, a znał przecież wszystkich. Mógłby od razu wymienić nazwisko skazańca, ale tak nie należy czynić. To zbyt proste, ludzkie. Dla tych nieszczęsnych nie było litości. Męki niepewności należało przedłużać w nieskończoność.

Wymieniony wstał, ale jeszcze drżenie w nim nadzieja i pyta:

Zabrać rzeczy, czy nie?

Jeżeli zabrać to ogromna radość. Przyszłe ulaskawienie. W przeciwnym razie to ostatnia droga.

I skazaniec szedł z pełną determinacją, chwiał się na nogach, wpadał w rozpacz, lub w szale czepiał się współtowarzyszy, szukając u nich ratunku. Nie chciał wyjść z celi, ale banda siepaczy, zaprawiona w swym rzemieśle, robiła swoje.

Te makabryczne sceny, to jedyny moment, w którym pozostali odczuwali odprężenie. Jeszcze nie dziś. Jeszcze jeden dzień żywota. Ale to samekła - nywanie się nie trwało długo. Był to łyk powietrza, który chwycił tę - nący, gdy na moment wypłynął. I znów wleka się beznadziejne godziny, w których każdy z nich przeżywał moment śmierci, śmierci tyśiąkroć, nej. Widzieli się w pętli szubienicy, przed plutonem egzekucyjnym lub na klęczkach, ze związanymi rękami, w oczekiwaniu na strzał w potylicę. Obrazy te były tak sugestywne, że trudno było pojąć, gdzie gra wyobraźni, a gdzie rzeczywistość.

Starano się nie myśleć, wyłączyć aparat myślowy z działania, po - grażyć się psychicznie w letarg, w niebyt, ale to rzadko udawało się. Myśli, jak macki ośmiernicy oplątywały całą głowę i o dziwo, że do tej pory cała, że nie w tej, biednej głowie nic nie pomieszało się, że jeszcze spranie pracuje.

Nadszedł moment, że wszystko zaczęło plątać się w głowie. Nie wiedziałem ile tych dni i nocy przevegetowałem. Ile razy przewlekał myślami każdy szczegół swego życia, dni radości i smutku, swawolnej młodości peł - czoną z tryumfem lub klęską sportową, szczęśliwego życia małżeńskiego, tragicznych i bohaterkich dni ekupacji.

Czy z całej, tej bogatej przeszłości nic nie zostanie? Czy z momentem przebicia czaszki wrzszą kula, lub zdławieniem szyi nic nie zostanie? Czy prawdą jest to co mówi nasza religia, że tam, gdzieś w niebie zacznie się drugie życie, a może prawda tkwi w reinkarnacji?

Te co w normalnym życiu człowieka nie jest przedmiotem dociekań przeciętnego człowieka, staje się dy\_lematem w tragicznych momentach.

Rezum odrzuca wszelkie prawdy, a deszukuje się czegoś nadprzyrodzonego, czegoś co będzie łączyło go z opuszczonym światem.

Często usta wymawiały żarliwe słowa modlitwy, ale to nie była modlitwa dziecięcego wiśku lub głoszona na lekcjach religii. Nie była też modlitwą dorosłego i głęboko wierzącego chrześcijanina. Była jakaś inna, bardziej żarliwa, ale też pozbawiona dawnej wiary i ufności. Często było rzucane żarliwe pytanie: Gdzie jesteś Wszechmocny Boże? Czemu nie ukazujesz Swego miłosierdzia? Gdzie Twoja przegrana dobroć? Dlaczego pozwalasz, by zło tryumfowało nad dobrem, przemoc i bezprawie nad sprawiedliwością? Czy dla chwały Twojego tronu są potrzebne jęki-męczonych? męczonych? Gdzie jesteś Matko, którą naród polski wybrał na swą Patronkę i opiekunkę? Czemu nie wyblagasz łaski u Twojego Syna dla męczonego narodu polskiego?

Ale i te myśli zanikały. Budzące się wątpliwości schodziły na dalszy plan, a wracała tragiczna rzeczywistość, która ma skończyć się..... Tak ma skończyć się, ale czym? Czy z chwilą gdy zgaśnie lampka żywota nic nie zostanie prócz ludzkiej padliny, którą czas i robactwo zezra, a pozostanie tylko czerep i biślejące kości? Jak trudne i ciężkie pogodzić się z tym.

I znów okres bezwładu myślowego, który nie odróżniał dnia od nocy, zatłacał poczucie czasu i przestrzeni.

A życie celi biegnie swym, tragicznym torem. Jedni odchodzili na śmierć, drudzy na długie lata katorżniczego bytowania, a na ich miejsce przychodzili inni, nieznanymi i takimi pozostali na zawsze. Ludzka tragedia ciągnie się bez końca, a tylko dlatego, że jedni chcą panować nad drugimi, że żądza władzy nie ma granic, nie ma hamulców, nie waha się przed żadną zbrodnią ubraną w piękne frazesy.

Wśród nowych skazańców był młody Ukrainiec, którego zachowanie było inne od pozostałych. Klęczał całymi godzinami przed ścianą celi, szepcząc cicho lub głośno słowa modlitwy. Bił kornie czołem o podłogę i bezustannie powtarzał te same słowa "Spasi Boh"/Boże ratuj/

I te słowa powtarzały się w różnych intonacjach, przechodząc czasami w szpań i ryk. Były to jedyne dźwięki, które zakłócały śmiertelną ciszę celi.

Tę smukłą, junacką postać, o bladej bez życia twarzy, oczami lunatyka, które patrzyły, a nie widziały, potwarzane atakami zwierzęcego strachu i chęcią utrzymania życia, które zaczęło rozwijać się, było symbolem



epoki, w której żyjemy, epoki słownego, wielkiego humanizmu i równocześnie antyludzkiej rzeczywistości.

Czy ten chłopak i jemu podobni powinni płacić najwyższą cenę, cenę życia zato, że rezbudzone w nich nacjonalizm, czy też szowinizm, który pchał ich do bezmyślnych zbrodni. Rozpętano i pozwolono działać najniższym instynktem, prowadzącym do samozagłady. Oni byli tylko narzędziem tych, którzy zdala od niebezpieczeństwa planowali uchwycenie władzy, rękami takich, jak ten tu w tej celi śmierci. Zawiniłi moiżni, a kara spotkała prostaczków. Bezдушny wymiar sprawiedliwości nie widział, czy też nie chciał widzieć i rozróżniać istoty zła, uznać okoliczności łagodzących. Wyrywano z kerzeniami rzeczywiste, czy też urojone chwasty, a z nimi i nasiona pięknych kwiatów. Panowała tu zasada: "Lepiej stu niewinnych skazać, niż jednego winnego przepuścić".

Stan chłopca stawał się niemożliwy do zniesienia. Nie było już w nim niczego ludzkiego, poza powłoką cielesną. Ta klęcząca lub leżąca bryła ludzkiego mięsa, która już nie krzyczała, nie mówiła, nie szeptała, a tylko bełkotała, wydawała nieartykułowane dźwięki. Uleciało z niej wszystko co myślące. Cichy, niesamowity wariat.

Ale i ten nieludzki stan nie wywołał u pozostałych żadnych odruchów, ni dobrych, ni złych. Ogólne ośpienie spowodowało brak reakcji na to co działo się poza własnym ja.

W mej głowie coraz większy zamęt. Zapomniał nazwiska, fakty, zdarzenia. Trudne mu było odtworzyć to co było treścią dnia poprzedniego. Zwolna wszystko usuwało się w cień, gdzieś w dal. znikowało, wymazało się z pamięci.

Nie wiedziałem czy to obrona organizmu przed zupełną zatką świadomości, z której nie było już powrotu.

I znowu przeklęta noc. Noc wyczekiwania na ostateczną decyzję, która - prowadziła na szafot lub.....ale to drugie rzadko przychodziło do głosu. Nie czekano, nie spodziewano się aktu łaski. Ci, od których zależało być lub nie być w rzadkich wypadkach zmieniali ostatni wyrok. Umarli milczą i są najbardziej nieszkodliwi. Ta zasada dominowała w berio - skim aparacie władzy i terrorze.

Warkot przeklętego samochodu wiercił uszy, wlewał się do komórek mózgowych i ten skradający się strażnik, który, jak żmija przesuwał się od jednego do drugiego skazańca.

Nasuwało się pytanie: Czy ta forma sadyzmu sprawiała mu radość, czy była skutkiem nakazu? Kto ich tego nauczył? Kto wychował? Kto nakazał tak nieludzko postępować? A może sama natura spłodziła takie potwory? Wyrwała z nich wszystko co ludzkie, zrobiła nieczułymi na wszelki, ludzki ból.

Skradający się strażnik znalazł się przy mnie.

- Wasza familia?

Prass Karol.

- Podnomajsia /wstawaj/

Odruchowo pada pytanie: Brać rzeczy?

- Nie nada.

Wyszedłem z celi, w której wbelekrotnie przechodziłem psychiczną śmierć. W tej ostatniej wędrówce towarzyszył mi, jak zwykle anielski stróż, w postaci beriowskiego brytana.

Wspięli się na pierwsze piętro. Opiekun pełen wigeru i brutalnej siły i ofiara wlokąca się na zwietrzałych nogach.

Warkot motoru był tu bardziej donośny, a może to było tylko złudzenie?

Nogi skazańca zupełnie sfaczały, a serce weszło pod gardło.

Detarli nareszcie do kancelarii więziennej.

Za stołem siedział komendant więzienia, a obok niego prokurator.

Skrzyżowały się oczy ofiary i prześladowców.

Zaległo chwilowe milczenie, które przerwał prokurator.

- Nie pan doigrał się. Nie chciał nas słuchać. Trzeba rozstać się ze wszystkimi na zawsze. Co powiesz nam na pożegnanie?

W tym najtrudniejszym w moim życiu momencie, wróciła mi dawna pamięć.

Znikł strach. I cóż miałem mu powiedzieć? Plunąć w ten obrzydliwy pysk?

Wyć z rozpaczą? Czy czołgać się na kolanach, błagając o przedłużenie nędznego żywota? O nie panowie kaci. Uległem słabości, gdyż to jest ludzkie, ale czy wasze nie zobaczą tego co dzieje się w mej duszy. Uszy nie usłyszą jęków rozpaczliwych. Dla was muszę być chłodny, opanowany. W duszy przez was podziwiany, a równocześnie tak bardzo znienawidzony, gdyż tacy, jak ja mamy odwagę sprzeciwić się waszemu bezprawiu i zakłamaniu.

Stawałem się coraz bardziej opanowany, ale niezdolny do żadnych, fizycznych reakcji. Już dawno wykonano na mnie wyrok śmierci. Tysiące razy czułem ból spowodowany zaciskającą się na szyi pentli, czy ból spowodowany rozbiciem czaszki przez wrażliwą kulę. Zapadłem w odrętwienie, które nie pozwalało na żadną reakcję. Czułem tylko na sobie nienawistny wzrok prokuratora, którym wiercił mnie na wylot, rozkoszował się moim cierpieniem.

- Nie nie powiesz? Dalej jesteś uparty? My jednak nie jesteśmy tacy źli. Ty nas nienawidzisz, jak i wszyscy Polacy twój pokroju. Macie przęwrócone w głowie. Marzycie o Polsce, jakiej nie-była- było i nie będzie. Wy jesteście fanatykami. Nie umiecie myśleć realnie. Kto na siłę, ten dąkuje prawa i rozdziela łaski. My za ciebie, za tobie podobnych prosili o zmniejszenie, o złagodzenie kary, a ty co?

- Nigdy was o nic nie prosiłem i prosić nie będę. Macie mnie w swojej mocy i róbcie ze mną co chcecie. Kończcie rakarską robotę.

- Czekał serdecznie. Nie denerwuj się. My do ciebie z sercem, a ty do nas z nożem. Nasz wielki Stalin nie czuje nienawiści do takich, jak ty i dla

tego za zło zapłacił dobrem. Zmienił ci wyrok śmierci na dwadzieścia lat katorgi, którą będziesz odbywać w dalekich, karnych obozach Sybiru. Ostatnie słowa prokuratora nie docierały w pełni do mej świadomości, a gdy ona zaczęła działać, to w duszy mej nie było niczego, takiego co można by nazwać radością.

Opisany fragment miał miejsce w lwowskim więzieniu na Zamarynowie, w czasie od listopada do stycznia 1945 roku do stycznia 1946 roku.

© ARCHIWUM WSCHODNIE

Śmierć Stalina i strajki w obozach Workuty

Przyszedł pamiętny 1953 rok, w którym zakończył swój żywot "ojciec narodów" Stalin zwany w obozie / szyłom brytyj/ golony szydłem. Była to aluzja do śladów po ospie. Gdy radio głosiło o wielkiej tragedii, która spotkała narody ZSRR, gdy z głośników radiowych rozbrzmiewały żałosne pienia, w obozach więźniowie szaleli z radości.

Wśród więźniów wytworzyło się przekonanie, że jak długo żyje Stalin, tak długo nie ma szans na polepszenie lub zmianę katorżniczej vegetacji. Śpiewano i tańczono bez końca. Wszyscy z głęboką wiarą czekali na erę lepszych czasów. W zachowaniu administracji, a zwłaszcza straży, tych wierzni słuźaków aparatu przemocy można było zauważyć pewne niezdecydowanie zmiekczenie ostrego reżimu. Na mrozie przed wartownią nie przetrzymywano zbyt długo. Rzadsze stały się pobicia i karcery. Nie szafowano karnymi kotłami / normy wyżywieniowe/ Jedzenie uległo polepszeniu. Jednym skowem gwiazdy na niebie i ziemi głosiły nową erę, na którą czekały miliony więźniów, w tym dziesiątki tysięcy Polaków.

Coraz częściej zaczęły przenikać wiadomości ze świata. Jak grom uderzyła niewiarygodna wiadomość o likwidacji Berii ostoi, bestialstwa i zbrodni. Zmiany szły szybciej, aniżeli zbliżający się okres ciepła.

Nastał tragiczny lipiec 1953 roku. Był on wyjątkowo ciepły. Nie zakłócały go zimne powiewy z nad oceanu. Ciepło było w przyrodzie i ciepła nadzieja w sercach

Miałem nocny dyżur i czekałem niecierpliwie na zmiennika, który jak nigdy opóźniał swoje przybycie. Wreszcie ukazał się długo oczekiwany gość, który był dziwnie podniecony i nie dając przyjs mi do słowa, zaczął bezładnie opowiadać, że w kopalni wybuchł strajk. Nikt nie zjeżdżał do pracy, a cała zmiana siedziała na górze i śpiewała. Wiadomość była szokująca. Za podobny czyn w roku 1936 wszystkich trockistów przetrzymywanych w strajkujących obozach wyprowadzono w tundrę i rozstrzelano. Za samą próbę, a nie realizację takiego czynu dziesiątkowano opornych.

Zdałem szybko zmianę i wjechałem na górę. Obraz, który zobaczyłem przekraczał opowiadanie zmiennika. Więźniowie potworzyli grupy i grupki, a każda z nich starała się być głośniejsza od sąsiadów. Wszyscy czynili wrażenie wariatów lub opilców. Nie mogłem pojąć tego stanu euforii. szalonych tańców i śpiewów. Gdy pierwsze oszokumienie przeszło, podszedłem do najmniej hałaśliwej gromady z zapytaniem o powód radości. Wariaci porwali mnie na ramiona, zaczęli podrzucać i krzyczeć

" Niech żyje rewolucja". Z okrzyków i urywków rozmowy dowiedziałem się, że w Rosji rewolucja. Z każdą minutą potężniały okrzyki: Precz z katami narod! Precz z czerwoną burżuazją. Chcemy sprawiedliwości, powrotu do domu.

Było też pełno epitetów i niecenzuralnych słów wykrzykiwanych pod adre -

sem chlebodawców. Długo tłumiona nienawiść i cierpienia znalazły wreszcie ujście. Wszystko było spontaniczne, bez dyrygentów. Ktoś rzucił hasło: Wracamy do obozu. Potężny tłum <sup>runął</sup> bramie kopalnianej. Straż gdzieś ulotniła się. Nikt nie stawiał przeszkód, a wartownicy na wieżach patrzyli ciekawie z opuszczoną bronią.

Tłum wtargnął do obozu. Po rwno na nogi drugą i trzecią zmianę. Szak radości ogarnął wszystkich. Całowano się i tańczono, płakano z radości, wielu na klęczkach dziękowało Bogu za kres martyrologii. Nie było końca ucieśnieniom, lecz siły ludzkie i struny głosowe miały swoje granice. Zwolna wszystko zaczęło uspokajać się. Zachrypnięte głosy zaczęły deliberacje. Znalazłem grupę Polaków z Adamem Galińskim na czele. Zaczęły się indygaacje. Okazało się w rezultacie, że nikt niczego konkretnego nie wie. Ktoś krzyknął, że w Rosji rewolucja, że obozy rozpuszczają i tym podobne brednie które powstały na bazie gorących pragnień, a nie konkretnych dowodów.

Zaczęto analizować sytuację, ale do niczego mądrego nie doszli. Należało cierpliwie czekać.

Byli marynarze i łącznościowcy wyleźli na dachy baraków i zaczęła się sygnalizacja między obozami, które były oddalone od siebie na wzrokową odległość. Były to obozy nr. 7 i 39. Od nich dochodziły podobne wiadomości. Radosny szak był wszędzie.

Na zewnątrz obozu wzmocniono strażę i rozstawiono karabiny maszynowe, ale nikt nie strzelał, nikt nie przeszkadzał w ogólnej radości. Nikt nie pędził do pracy. Jeszcze dawano normalnie. Baraki zostały otwarte. Wszyscy spędzali czas na wolnym powietrzu. Nie śmierdziała parasza i nogi sąsieda. Szukano skrawka trawy. Słońce grzało, jak nigdy. Obóz wyglądał, jak wielka plaża. Błede wychudłe ciała poddały się pieczęcie promieni słonecznych. Nagle zrobił się ruch. Straż wprowadziła kilkunastu więźniów i zamknęła ich w izolatorze zwanym "burem". To obozowe więzienie wiele widziało i wiele słyszało, tylko mówić nie umiało.

Wśród więźniów poruszenie. Ktoś rzucił hasło odbicia więźniów, zamkniętych kolegów. Rozbito drzwi i w tym momencie zagrały automaty i karabiny. Wybuchła panika. Każdy szukał schronienia za byle faldą terenową.

Skutek strzelaniny okropny. Są zabici i ranni. Znikł szak radości. Zmyła go krew tych, którzy przed chwilą padli, tych którzy przed chwilą żyli nadzieją na lepsze jutro. Zgasło lipcove słońce. Moloch jeszcze raz dał znać, że istnieje, że gdy zachodzi potrzeba może działać, gryźć i mordować. Wesoły pełen gwaru obóz zamienił się nagle na pobojo-wisko, na którym nie było walczących, ale byli polegli i ranni.

Gdy pierwszy strach i oszołomienie minęły rzucono się ku rannym i zabitym. Wśród trupów i rannych morze krwi. Ranni krzyczeli w niebogłosy. Żywi i cali nie wiedzieli komu i jak pomagać. Zjawili się dwaj lekarze i kilku felczerów, którzy zajęli się rannymi. Dobry los oszczędził rodaków. Wszyscy byli cali.

Lipiec był dalej piękny, jak nigdy, ale w sercach więźniów zaległa pomura noc. Łącznościowcy przekazali tragiczną wiadomość do innych obozów. Ukonstytuował się komitet dla oddania ostatecznie przysługi śmiertelnym ofiarom terrorku. Z prostych, nieheblowanych desek zbito prymitywne trumny, do których włożono śmiertelne szczątki. Wielotysięczna kolumna więźniów uformowała się, by oddać hołd ofiarom bestialstwa. Trumny ustawiono w jednym szeregu, na środku dziedzińca obozowego. Wieka trumien były odkryte. Wzdłuż tego śmiertelnego szeregu przesuwali się pojedynczo więźniowie i każdy z nich dotykał ręką trumny, rzucał do środka osobistą pamiątkę lub krótką modlitwą żegnał tragicznie zmarłego przyjaciela.

Wykrzywione agonią twarze, rozbite głowy, wyraz bólu lub zdziwienia na twarzy oto obraz, który towarzyszył żywym kolegom w czasie tej niebywałej ceremonii pogrzebowej. Żaden głośniejszy szmer nie mógł tej tragicznej uroczystości. Dokoła dziedzińca utworzył się zamknięty krąg więźniów, do środka tego kręgu weszli dwaj księża-więźniowie, by oddać ostatnią przysługę.

Dziwny widok tworzyli ci skądzy Boży. Ostrżone głowy, rwane i brudne kaczmany z łałami i numerami na plecach i udach, ale te symbole poniżenia godności ludzkiej, nie umniejszały ich kapłańskiej roli. Znaki hańby przeznaczone dla prawdziwych zbrodniarzy, na plecach kapłanów były aureolą męczeństwa. Głośno wymawiane modlitwy, powtarzane przez tysiące ust, głęboko zapadły w serca i potęgowały smutny obzrądek. Wiele z tych ust dawno nie wymawiały tych modlitw lub od wczesnego dzieciństwa nie znały ich treści.

Teraz wymawiały je za innymi, wczuwając się w treść dawno lub wcale nie słyszaną.

Obrazu tego nie zapomniał nikt z biorących udział w tym pamiętnym pogrzebie. Po modłach, najbliżsi koledzy pomordowanych, więc wzięli trumny na barki i kondukt ruszył ku bramie, wśród szpaleru milczącego tłumu. Pragnienia ofiar spełniły się. Wyszli za bramę obozu zwolnieni od wszelkich trosk codziennych, ale wyszli, jako łartwi, nogami w przód.

W tych wolnych, ale pełnych napięcia chwilach, wiele czasu poświęciłem swym wyrosniętym uczniom. Czyniłem to teraz jawnie.

W cichą, bezkresną tundrę leciały słowa pisane przez wielkich mistrzów, a wymawiane często z wielkim opozem przez tych, którzy tworzyli małą wysepkę polskości, na wielkim oceanie bezprawia. Te piękne i owocne chwile pozwalały zapomnieć o niepewnym jutrze. Za te najmiłsze lekcje w moim życiu, za to, że wracałem Macierzy zagubionych synów, że wpajałem w ich dusze to co polskie, piękne, co tworzyło naszą, polską historię, w niedalekiej przyszłości miałem za to drogo zapłacić.

W obozie potworzyły się komitety narodowościowe, których zadaniem było dbać o swoje interesy lub gdy zdarzy się okazja, to przechwycić władzę w obozie. Mieli ochotę utworzyć i nasi rodacy komitet polski, ale razem z Adamem

Galińskim wytłumaczyliśmy rodakom, że naszym zadaniem jest dopilnowanie tego, by wszyscy rodacy znaleźli się w kraju. Tam jest potrzebna praca każdego Polaka, a nie sięganie po władzę w nie nieznaczącym łagrze, to sprawa Rosjan, a nie nasza. Nasze argumenty trafiły do przekonania rodaków i sprawa na ten temat ucichła.

Już siódmy dzień trwała nasza rewolucyjna bezczynność. Nikt i nic nie zakłócał spokoju, ale wyczuwało się, że pod tą ciszą kryła się burza.

Przykrym, ale sprawiedliwym aktem było rozprawienie się z donosicielami. W obozowym żargonie nazywano ich "stukaczami" lub "seksotami" Cichy donosiciel. Było ich kilkunastu. Stanęli przed sądem całego obozu. Bito ich bez litości. Na miejsce sądu musieli iść na kolanach. Głównemu musieli przyznawać się do swej podłej roboty, by za judaszowskie usługi otrzymać dodatkową porcję bakandy / kapuścianej zupy / lub lżejszą robotę. Wielu było za powieszeniem kajdaków, ale pierwszy odruch buntowniczego zapachu przygasł i górę wzięła rozwaga. Wgoniono wszystkich do izolatora i trzymano na karnym kotle.

W ósmym dniu strajku, w porze obiadowej, zaczęto bić w szyny alarmowe. Wszyscy wybiegli z baraków. Przed bramą obozu stał komendant Szewczenko i ręką dawał znak, że chce mówić. Cisza zaległa obóz.

- Za godzinę, rzekł Szewczenko przyjedzie tu wiceminister spraw wewnętrznych generał Maślannikow, prokurator generalny i naczelnik obozów wojskowych generał Derewianko. Oni wysłuchają wasze prośby i żale. Możecie mówić śmiało. Nikomu włos z głowy nie spadnie. Zbieżcie się wszyscy na dziedzińcu obozowym.

Za plecami mówiącego stała grupa enkawudystów z automatami, asekurując mówiącego.

Wśród więźniów powstał gwar i odezwały się okrzyki: Gady. Zmięknęła wasza skóra? Strach was obleciał? Towarzysze, czerwona brzuchazja robi w portki. Teraz my dobierzemy się do nich. Okrzykom nie było końca.

Cały plac obozowy zapełnił się więźniami, a tylko środek był wolny, jak arena w cyrku.

W otoczeniu kilku wyższych oficerów wszedł do środka Maślannikow. Wysoki, butny chłopisko, w złotych pagonach i czerwonymi lampasami na spodniach. Trzeba było przyznać, że miał chłopisko dużą dawkę odwagi. Mógł być narażony na najgorsze. Jego otoczenie nie miało zbyt tegiej miny.

Serca więźniów przestały bić. Tysiące oczu wpiły się w oczy tyrana. Czy on im powie? Niesie upragnioną wolność, czy złudne obietnice? A może nową karę?

Maślannikow przeszedł się wzdłuż siedzących więźniów i wrócił na środek placu. Może chciał okazać swoją siłę, a nicosć siedzących wobec władzy, którą reprezentował? Twarz jego miała kamienny wyraz. Był spokojny i wyniosły. Blika od niego pycha i pogarda dla tego uciemiężonego tłumu. On i je -

go Świta nie śmierdzieli, jak siedzący na ziemi. Biż od nich zapach wody kolońskiej, a od więźniów zapach zgnitej ryby. Oni czysti, wygoleni, w galonowych mundurach, dla większego splendoru, a ci drudzy w zachmanach z numerami na plecach i łbach. Stały przed sobą dwa światy. Świat ciemnościeli i świat cieniężonych świat władców i świat niewolników dwudziestego wieku. Kto nie był świadkiem tej nagiej prawdy, tej niezapomnianej scenerii nie uwierzy, że działo się to w 19<sup>23</sup> roku osiem lat po zakończeniu wojny, po Norymberdze, w okresie działania Ligi Praw Człowieka, Czerwonego Krzyża i inne humanitarne organizacje. Tu, do tego zagubionego zakątka nieszczęsnych ludzi nie sięgały ich wpływy. Tam daleko na Zachodzie, przy pełnej gali wygłaszano szumne deklaracje, a potem zapijano je szampanem. Tu nędza i poniewierka, tam luksus i rozkosze życia, a tutaj lepiej nie mówić, bo brał na to słów. I ci panowie, którzy nigdy nie zaznali głodu, nędzy i poniewierki oraz ci, którzy stworzyli piekło na ziemi, piękny kraj zamienili w więzienie, hasła Marksa i Lenina użyli, jako lukru dla przykrycia olbrzymiej, ropiącej rany społecznej, siedzieli przy jednym stole obrad, odnosząc się z pełnym szacunkiem do siebie. Mielili językami, jak papugi wzno sząc pod niebo swe zasługi.

Tymczasem Maślannikow, jak cesarz ogarnął okiem siedzący tłum i zaczął mówić.

- Z polecenia Centralnego Komitetu Partii przyjechałem tutaj, by wysłuchać waszych skarg i zaprowadzić porządek. Własza radziecka jest władzą prawdy i sprawiedliwości. Zawsze jest gotowa wysłuchać każdego i nawet was, którzy jesteście zdrajcami i ciężkimi przestępcami.

Prolog Maślannikowa nie był zbyt pocieszający.

- Każdy z was może mówić śmiało - ciągnął dalej swoją oracją Maślannikow. Ręczę słowem honoru, że nikomu nie spadnie włos z głowy.

Czyżby tacy, jak on mogli dotrzymać słowa?

Zaległa cisza. Nie było chętnych. Wszyscy zbyt dobrze wiedzieli co znaczy słowo honoru w ustach takich, jak Maślannikow.

Po długiej ciszy, na środek majeanu wyszedł znany profesor leningradzkiego uniwersytetu Jabłoczkin. Był to wysoki, chudy starzec. Z tej chudej postaci emanowała, jakaś ukryta siła, która udzielała się otoczeniu. Nie było w nim cienia strachu, czy zdenerwowania. Spotkały się oczy ciemnościeli i ofiary władcy i niewolnika.

Przy roszej, dobrze karmionej postaci Maślannikowa, profesor wydawał się jeszcze jeszcze mniejszy, drobniejszy. Jabłoczkin zaczął mówić. Mówił wolno, dobierał każde słowo. Nie był to głos zawodowego oratora, ale głos człowieka, który wie czego chce i wierzy w to co mówi.

- To co powiem nie jest nowiną dla tych, którzy rządzą i rządzą takimi, jak my, ale mówię dlatego, że w dąsży każdego z nas jest potrzeba wypowie -



dzenia swej krzywdy. Wypowiedź moja nie ma na celu ubliżenia wam, chociaż nie będzie przyjemna. Wiem, że wystąpienie moje smutnie skończy się dla mnie, ale żywota mego niewiele. Znam wasze zapewnienia. Dzisiaj dajecie słowo honoru, a jutro powiecie, że wobec takich jak my dane słowo nie obowiązuje. Tu przed wami stoją i siedzą nie przetępcy, a ludzie nieszczęśliwi. Ich winą jest to, że inaczej rozumieli i pojmowali marksizm niż wy. Naszym dążeniem była leninowska prawda, spokój i szczęście wszystkich ludzi. Wy trzymacie się kurczowo władzy, która wyla się z waszych rąk, bo jesteście zaprzeczeniem tego wszystkiego, co miał stworzyć komunizm. Terrorem chcecie i ~~zmasakra~~ i zmuszacie narody do posłuszeństwa, do milczenia. Piękny nasz kraj zamieniliście w jeden olbrzymi obóz. Wszystkim zamknęliście usta. Winą naszą jest to, że zawierucha wojenna zaprowadziła nas na zgniliznę Zachód, że przeżyliśmy hitlerowskie obozy i możemy porównać nasze życie naszego narodu z życiem biedaków na zachodzie. Wy nie możecie dopuścić do tego, by każdy z nas powiedział prawdę o nędzy panującej w kapitalistycznym świecie. Zdjęto nam bielmo z oczu. Ukazano nam prawdę. Skończyła się wiara w waszą, zakłamana prawdę, w waszą propagandę. Jesteśmy rozsądnikami nie zakłamanej prawdy, błądzący, które zjedzą was i dlatego izolujecie nas, ale przyjdzie czas, kiedy te wstrętne wszy dobiorą się do waszej krwi i pić ją będą aż ostatni gad, ciemiężca wyzionie ducha. Nie wiem co was tu przagnało? Jeżeli skrucha i chce naprawy wyrządzonych krzywd, to otwierajcie obozy, naprawcie krzywdy, a winnych pociągnijcie do odpowiedzialności przed sąd cierpiącego, zniewolonego narodu. Wiem jednak, że to kłótnie, że przyszliście tutaj na przespiegi. Chcecie winnych karać. Zgnietli byście nas na miazgę, ale szkoda wam damowej siły roboczej. Nie wiem kto nas nieszczęśliwych wprowadził w błąd? W jakim celu? Ktoś zawinił, a cały ciężar odpowiedzialności spadnie na nas. Wiem, że tak będzie. Nie darujecie nikomu. Pazury wasze drzeć będą nasze zagłodzone ciała. Nie chcę i nie będę mówić o naszych prośbach i żalach, bo wiem, że niczego nie dotrzymacie. Jeżeli wśród nas są jeszcze naiwni, których lata cierpienia niczego nie nauczyły, niech mówią, niech proszą, niech kładą się dalej, bo coś innego im pozostało? Jabłoczek skończył i odszedł bez czekania na odpowiedź Maślannikowa. Wystąpili inni. Jedni plugawili czerwonych katów, a inni domagali się zlikwidowania drutów, otwarcia baraków, wynagrodzenia za pracę, przysłanie komisji do rozpatrzenia spraw, zniesienia hańbiących numerów i tak bez końca.

Gdy wystąpienia mówców skończyły się, głos zabrał Maślannikow.

- Wszystkich waszych życzeń spełnić nie mogę, gdyż nie mam na to upoważnienia, ale niektóre z nich będą spełnione. Baraki stale będą ot -

warte. Numery zdjęte. Najbardziej pracownicy otaczają prawo wychodzenia na parę godzin poza teren obozu. Waszym zaś obowiązkiem jest natychmiastowy powrót do pracy. To uchroni was od wielu nieprzyjemności.

Skończył i bez słowa wyszedł z obozu, a z nim cała świta.

Wśród więźniów zakotłowało. Gorące i zapalne głowy namawiały do dalszego strajku. Zwyciężyła większość, która była zadowolona z otrzymanych obietnic.

Ranek następnego dnia zbudziły więźniów serie z automatów i karabinów maszynowych. Strzelanina dochodziła z sąsiedniego obozu nr. 29.

Wszyscy zrozumieli, że dzieje się tam tragedia.

Wedle naocznych świadków sprawa wyglądała następująco.

Do obozu przyjechali Maślannikow, Rudenko i inni. Do środka obozu nie weszli. Zebranych za drutami więźniom oświadczył Maślannikow, że daje im pięć minut do namysłu i powzięcia decyzji. Pójdą do pracy czy też nie? Wrazie negatywnej odpowiedzi każe strzelać.

Zebrany tłum uważał to za kpiny i zaczął wygrażać. Gdy wyznaczony termin czas<sup>y</sup> minął zagrały karabiny. W zbity tłum wpadły śmiertelne pociski. Skutek był wstrząsający. Wielu zabitych i rannych. Po krwawej łaźni wezwano ekipy lekarskie z "orkuty. Tego samego dnia w obozie nr. 7 wyprowadzono wszystkich więźniów do tundry. Wszyscy siedzieli na ziemi, otoczeni sforą psów i strażą. Dzielono ich na dwie grupy. Zapewne na opornych i tych, którzy wyrazili chęć powrotu do pracy. Jaki los spotkał one opornych nie wiadomo.

Obiecanki Maślannikowa zostały w sferze marzeń. Zaczęły się represje i przetrzucanie więźniów do innych obozów. Galińska i ja dostaliśmy się do obozu kamiennego, gdzie przeważającym elementem byli przestępcy pospolici

Opisane fakty miały miejsce w lipcu 1933 roku w obozach przy kopalni nr. 1, 12, 14, 15, 16, tak zwane jacygińskie kopalnie i wymienione 7 i 29.

II/1632/MK  
PROVOKACJA

© ARCHIWUM WSPÓŁCZESNE

Przygotowywałem się do wyjścia do pracy na drugą zmianę, gdy nagle do baraku weszli dwaj strażnicy i kazali mi zabrać mój katorżniczy dobytek. Drżącymi rękami pakowałem do worka, który służył mi za walizkę, swoje katorżnicze kachy, a koledzy pomagali mi w tej robocie. Rozumieliśmy, że biorą mnie na etap. Trzeba było rzucać przyjaciół i zasiedziały kąty i iść w nieznaną, które nie wróżyło niczego dobrego.

Zaprowadzono mnie na wartownię. Tu nowa niespodzianka. Przed bramą obozową stali rodacy: Marian Bauer, Longin Blinstrub, Kazimierz Cis, oraz Olek Zarzycki. Był też i konwój.

Odprawa trwała bardzo krótko. Dziwny pośpiech? Szli na etap, na nową tułaczkę. Wyrwano ich z obozu, w którym mieli oddanych przyjaciół. Nie zwłaszcza woli rzucali to miejsce, w którym życie katorżnicze zaczęło układać się lepiej. Koło życia ruszyło z miejsca i zaczęło swój nieokreślony taniec, a oni bezwolnie musieli iść tam, gdzie ono toczyło się.

Wszyscy moi towarzysze niedoli, to ludzie młodzi. Ja wśród nich najstarszy. Zarzucili mnie pytaniami, ale coż mogłem im powiedzieć? Nie mogłem zrozumieć tego pośpiechu, tak nagłej decyzji i, czysto polskiego składu etapu. To nie był zwyczajny etap, przerzucanie więźniów z obozu do obozu, by zbyt nio nie zasiedzili się w jednym miejscu. Świat należy zwiedzać, poznawać nowe miejsca i ludzi.

Za tym wszystkim kryła się poważna sprawa. Pytanie tylko, jaka? I co ona przyniesie?

Za bramą stała kryta ciężarówka, do której załadowano nas. Jaka wygoda? Katorżników zaczynają wozić samochodami? Tego jeszcze nie było.

Zatrzasnęły się za nami drzwi i zostaliśmy sami. Zbici w gromadę staraliśmy się dociec prawdy. Padały różne domysły, jedne gorsze od druhich. Ciężarówka trzęsła, jak licho. Drogi workuckie to wąski pas kamieni, które przywieziono z hałd. Nikt tych kamieni nie równał. Zrobiły to mrozy, śniegi i deszcze, oraz przejeżdżające samochody. Na takich drogach dziura goniła dziurę. Koła skakały z wyboju na wybój. Wyboista droga nie dawała spokoju. Podrzucało ich, a razem z nimi ich mamy dobytek.

Droga dłużyła się, a niepewność rosła.

Nagle samochód zatrzymał się. Skończyła się huśtawka. Przyjechali do celu. Otworzyły się drzwi i zabrzmiał krótki rozkaz: Wysiadać.

Przed oczyma etapowców drewniany budynek. Jak później dowiedzieli się była to siedziba NKWD. Narazie nic o tym nie wiedzieli. Wprowadzono ich do środka i zamknięto w pojedynczych celach. Budynek zbudowany z grubych bali, nie otynkowany na zewnątrz i wewnątrz. Cella mała. Pod ścianą goła prycza i koniec. Okna nie było. Wysoko nad drzwiami światło żarówki rozjaśniało

## PROWOKACJA

Przygotowywałem się do wyjścia do pracy na drogą miąsą, gdy nagle do baraku weszli dwaj strażnicy i kazali mi zabrać mój katorżniczy dobytek. Drżącymi rękami pakowałem do worka, który skrzyż mi za walizką - swoje katorżnicze rzeczy, a koleśdy pomagali mi w tej robocie. Rozumielišy, że biorą mnie na etap. Trzeba było ruszać przyjaciół i nasiedziało kąty i idź w nieznane, które nie wrótyło niczego dobrego.

Zaprowadzono mnie na wartownię. Tu nowa niespodzianka. Przed bramą obozową stali rodacy: Marian Bauer, Longin Blinstab, Karłowicz Cis, oraz Olek Zarzycki. Był też i komwój.

Odprawa trwała bardzo krótko. Dziwny pośpiech? Szli na etap, na nową tużacz - kę. Wyzwano ich z obozu, w którym mieli oddanych przyjaciół. Nie zwłaszcza woli ruszali to miejsce, w którym życie katorżnicze zaczęło układać się lepiej. Koło życia ruszyło z miejsca i zaczęło swój nieokreślony taniec, a oni bezwolni musieli idź tam, gdzie ono toczyło się.

Wszyscy moi towarzysze niedoli, to ludzie młodzi. Ja wśród nich najstarszy. Zaznucili mnie pytaniami, ale coś mogłem im powiedzieć? Nie mogłem zrozumieć tego pośpiechu, tak nagłej decyzji i czysto polskiego składu etapu.

To nie był zwyczajny etap, przemieszczanie więźniów z obozu do obozu, by zbyt - nie nie nasiedzieli się w jednym miejscu. Świat należało wiedzieć, poznawać nowe miejsca i ludzi.

Za tym wszystkim kryła się poważna sprawa. Pytanie tylko, jaka? I co ona przyniesie?

Za bramą stała czarna ciężarówka, do której załadowano nas. Jaka wygoda? Katorżników zaczęli wozić samochodami? Tego jeszcze nie było.

Zatrzasnęły się za nami drzwi i zostaliśmy sami. Wbici w granadę staliśmy się dociec prawdy. Padały różne donosy, jedno gorsze od druhich. Ciężarówka trzęsła, jak licho. Drogi workuckie to wąski pas kamieni, które przywieszono z hańb. Nikt tych kamieni nie rósł. Zrobiły to mrozy, śniegi i deszcz, oraz przejeżdżające samochody. Na takich drogach dziura gonika dziurą. Koło skłaski z wyboju na wybój. Wyboista droga nie dawała spokoju. Podmuchało ich, a razem z nimi ich mazy dobytek.

Droga dłużyła się, a niepokój rosł.

Nagle samochód zatrzymał się. Skończyła się hańbawka. Przyjechaliśmy do celu. Otworzyły się drzwi i zabrzniał krótki rozkaz: Wsiadać.

Przed oczyma etapowców drzewiany budynek. Jak później dowiedzieli się była to siedziba IKWD. Narazie nie o tym nie wiedzieli. Wprowadzono ich do środka i zamknięto w pojedynczych celach. Budynek zbudowany z grubych bali, nie otynkowany na zewnątrz i wewnątrz. Ciała nalutka. Pod ścianą goła przeczka i koniec. Okna nie było. Wysoce nad drzwiami światło żarówki rozjaśniało

to ponure mroki celi. Szpary między belkami uszczelnione pakułami. Siadłem na pryczy, a głowa pełna myśli. Pobyt w tym beriowskim rajku nie wróżył niczego dobrego.

Czego oni od nas chcą? Co to za sprawa? Wysiłałem mózg, ale nie mogłem dojść do żadnego, konkretnego wniosku. Siedzę tu od kilku godzin, a nic nie dzieje się. Już dawno minęła pora obiadowa. Zapewne już wieczór. Co robią rodacy w obozie? Jak komentują nasze zniknięcie? Co robią i jak czują się?

Znużony jazdą i wrażeniami, położyłem się na pryczy i zapadłem w głębokoki sen. Sni mi się, że jestem w obozie na "Kapitałnej". Dokoła mnie rodacy, gdy nagle poczułem gwałtome szarpanie. Zbudziłem się. Przede mną stał strażnik i wrzeszczał, jak opętany. Zerwałem się z pryczy, a strażnik dalej wrzeszczał i pchał mnie w stronę drzwi. Popychany i kłajany znalazłem się w dużym pokoju. Drzwi za mną zamknęły się. Rozglądałem się ciekawie i zobaczyłem, że za długim stołem siedziało kilku oficerów. Najstarszy rangą pułkownik kazał mi usiąść i wyjaśnił, że znajduję się w sztabie NKWD. Na zadawane pytania mam odpowiadać szczerze i zgodnie z prawdą. Wszelkie krętactwo pogorszy moją sprawę. Słuchałem cierpliwie, ale nie rozumiałem czego ode mnie chcą? Padło pierwsze pytanie, które jeszcze bardziej wprzewodziło mnie w zakłopotanie.

- Co oznacza słowo "kask"? zapytał pułkownik.

Jaka cholera z nimi? Po to nas tu gonili, by pytać o takie głupstwa? Pułkownik spokojnie powtórzył pytanie: Co to jest "kask"?

Jak tylko mogłem i umiałem dawałem określenie tego słowa. Podawałem podobieństwo i różnice między kaskiem a hełmem. Wszyscy w milczeniu słuchali cierpliwie, ale po ich minach widziałem, że nie tędy droga. Oblicze pułkownika twardniało. Widać było, że siłą wstrzymywał się przed wybuchem, a ja dalej brnąłem swoją drogą. Przecież nie miałem innej. Gubiłem się w domysłach i nie rozumiałem całej sprawy.

Pułkownik widocznie miał dosyć tej gadaniny. Walnął pięścią w stół i jeszcze raz przypomniał, że mam mówić prawdę, odpowiadać szczerze na zadawane pytania.

Byłem zupełnie zdezorientowany. Kto z nich jest wariatem? Odpowiadam, jak mogę najlepiej, a oni posądzają mnie o kłamstwo. Co tu można ukrywać? W jakim celu kłamać? Kask jest kaskiem i nic i nikt nie może zmienić pojęcia tego słowa.

- Panie pułkowniku odpowiadam szczerze na postawione pytanie i każdy Polak dałby identyczną odpowiedź. Słowo kask nie ma innego znaczenia, jak podane przeze mnie.

- Ty nam czasu nie zabieraj i powiedz co pod słowem kask kryje się?

Zacząłem domyślać się, że ten wyraz to szyfr, ale co ja mam z tym coś wspólnego i zapewne moi młodzi rodacy? I dlaczego mnie o to pytają? Powtarzam więc, że inaczej nie mogę określić tego słowa i nie wiem co na ten temat można więcej powiedzieć?

My pomożemy waszej pamięci, ale to nie wyjdzie wam na dobre - rzekł pułkownik.

- Proszę mi wierzyć, że nie rozumiem tej całej historii. Chcę wam pomóc, ale nie wiem jak?

- Kapitanie Ignatiew pomóżcie jego pamięci.

Wiedziałem co to znaczy. miałem dobrze zakarbowane śledztwo ze Iwowa.

- Ale ja.....

Nie dano mi skończyć. Zaczęło się zmiękczanie, a potem, jak worek wrzucono mnie do celi.

Leżałem na pryczy, a nad bólem dominowało pytanie: Co za tym słowem kryje się? Jaką nadano mu treść?

Jak te draby umieją bić. Każde uderzenie inne i każde wywołuje inny rodzaj bólu.

Pobity nie wiedział, jak ma leżeć? Żadna pozycja nie przynosiła ulgi.

Próbował siedzieć lub stać, ale to nie umniejszało bólu.

Nie długo dano mi odpocząć i masować obite boki. Kuli żelazo dopóki go rąca. Bili i pytali. Gdy jeden zmęczył się, to drugi zaczynał i tak w koło. Bity trzymał się jeszcze. Jeszcze głowa pracowała. Zaczął rygać krwią, a oni ciągle bili i powtarzali to samo pytanie. Nareszcie film urwał się. Niczego już nie czuł.

Wróciła mu świadomość, a z nią ból. Nie mógł ruszać się, a myśl ciągle nękało fatalne słowo "kask" Jak je rozszyfrować? Jak im wytłumaczyć, że nie może dać temu innej treści.

Ceremonia zaczęła się od nowa, ale już nie bili. Przeglądali jakieś papiery. Coś między sobą szeptali. Pułkownik dał pobitemu jakiś papier i kazał przepisać normalnym pismem, a potem drukowanym.

Robikiem co mi kazano, ale dalej byłem głupi, jak tabaka w rogu.

Skończyłem. Wzięli jedno i drugie pismo. Porównywali je z innymi, które leżały na stole. Zobaczyłem, że na stole są jakieś zryćcia. Po chwili kazali mi wyjść na korytarz, a obok mnie dwaj stróże bezpieczeństwa.

Po obu stronach korytarza szereg drzwi z judaszami. Tam siedzą moi, młodzi rodacy. Czy oni też przechodzą te nieludzkie tortury? Czy pytają ich o ten przeklęty kask?

Jest znowu przed śledczym zespołem. Twarze tego przeklętego grona kryły źle ukrywaną złość. Czy ich świdrowały ofiarę. Chcieli wyrwać z jego duszy to czego tam nie było, bo być nie mogło.

Zaczął, jak zwykle pułkownik.

Wymieńcie znanych wam w obozie Polaków.

Mam podać nazwiska, a to grozi z wciąganiem ich do nie znanej mi bliżej sprawy, która nie wróży niczego dobrego. Co robić? Jak wybrnąć z sytuacji?

- Znam wielu Polaków, ale nazwisk ich nie pamiętam. W warunkach obozowych jest to niepotrzebne. Nawet ci, których przyprowadzono razem ze mną są mi z nazwiska nieznani.

- A dlaczego oni ciebie znają? Mnie zna cały obóz, <sup>gdy</sup> często występowałem jako piłkarz.

- A Kraszewskiego znasz?

Nie mogłem mówić, że żadnych nazwisk nie znam, więc powiedziałem, że go znam.

- No chociaż jednego zna, rzekł kpiąco pułkownik.

- A w jakim celu chodziłeś do niego?

- Dawał mi wazelinę, którą smarowałem popękana skórę.

- O czym rozmawialiście?

- O pracy, o grze w piłkę. Wspominaliśmy rodziny.

- To wszystko?

- Tak. Te sprawy interesowały nas najbardziej.

- Kto oprócz was bywał u Kraszewskiego?

- Tego nie wiem. Nie spotykałem tam nikogo.

- Och, jak ten drań oszukuje nas, rzekł siedzący obok pułkownika major.

- Czy byłeś na wspólnej wigilii w baraku nr. 36?

- Tak.

- Co robiliście tam?

- Złożyliśmy sobie życzenia. Jedliśmy prażuchę i chleb smażony na oleju, a następnie cicho nucili kolędy. Gdy zabrzmiał gong, wróciłem do swego baraku.

- Na dzisiaj wystarczy nam tych bajek. Odprowadzić drania do celi. Coraz bardziej gubiłem się w domysłach. To co powiedziałem było zgodne z prawdą, z wyjątkiem spotkań, gdzie bywali też inni rodacy. Spotkania te nie miały w sobie niczego zdrożnego. Zwyczajna tęsknota za polskim słowem i możliwość spotkania się z rodakami, wytłumaczyć tego nie można, gdyż wszędzie i we wszystkim duszują się zdrady. W jakim też celu wciągać niewinnych ludzi.

Dostałem silnej gorączki. Całe ciało ziało ogniem. Spieczona wargi do magazy się wody. Z głowy bił żar. Czasami traciłem świadomość, nie wiedziałem gdzie jestem. Całe ciało, jak jędna rana. O przeklęte szatany. Bić potrafiają dobrze, ale dlaczego to czynią? I to pytanie dlaczego nie dawało mi spokoju, przebijało przez żar ciała, ogarniało rozpaloną głowę. Zacząłem majaczyć. Coś mówiłem do siebie, ale nie rozumiałem własnych słów. Nie wiedziałem, jak długo trwały powroty do świadomości i zapadanie się w nicłość. Wróciła mi wreszcie świadomość, ale ruszać się nie mogłem.

Wypruto mnie ze wszystkich sił. Głowa myślała, a ciało, jak sparaliżowane nie zdłże do wysiłku. Czas mijał. Nikt nie zakłócał spokoju, prócz strażnika, który przynosił jedzenie. Powoli wracały siły. Mogłem już siedzieć. Ogarnął mnie niepokój o chłopców. Są tu, gdzie i ja. Mamy więc wspólną sprawę. Pytanie tylko, jaką? Czy ich niewiedza i brak winy są takie, jak u mnie? A może.....

Ale co może być? Jaki to ma charakter? Głowiłem się nad zagadką, a odpowiedzi nie było.

Strażnik poprowadził mnie znowu na śledztwo. Ten sam zespół śledczy.

Pułkownik powitał wchodzącego kpinałi.

Miękki jesteś bohaterze, jak baba. Dostałeś trochę batożków i już klapa. Stałem przed nimi i milczałem. Gdybym nawet chciał mówić, to co miałem im powiedzieć? Milczenie przerwał pułkownik.

- Kiedy wypada wasze święto państwowe?

- Trzeciego Maja i jedenastego listopada.

Dziwiło mnie to pytanie, ale lepiej nie pytać., a odpowiadać.

Mam chodzić o święto jedenastego listopada. Co wtedy robiłeś i gdzie byłeś?

- Nie mogę tego powiedzieć, gdyż to prawie rok, a po drugie, daty, dni, miesiące dla nas więźniów nie istnieją. Żyjemy dniem dzisiejszym.

O przeszłości i przyszłości nie myślimy.

- Kapitanie pomóżcie jego pamięci.

Wezwany podniósł papierek leżący na stole i zaczął czytać:

Na rozkaz kolegi Karola Prassa zebraliśmy się w łaźni obozowej, by gromadnie uczcić święto 11 Listopada. Było nas kilkunastu. Wszyscy zaprzysiężeni.

Jacy zaprzysiężeni? Jaka łaźnia? Czy oni, czy też ja oszalałem?

Do czego to prowadzi?

- Czy słyszeliście dobrze, co wam przeczytał kapitan? Może i o tym nic nie wiecie?

- Myślcie co chcecie. Róbcie ze mną co się wam podoba. Mogę tylko jedno powiedzieć, że to jakieś błędne koło. Mówicie o sprawach, które są mi zupełnie obce, nieznanne i niepojęte. Przyjmijmy, że to wszystko prawda, że chciałem, czy też chcieliśmy uczcić święto narode, ale dlaczego w łaźni, w stroju adamowym? Przecież to musiało ubliżyć całej uroczystości. Czy nie lepiej i prościej było to urządzić w baraku?

Mądry ptaszek, rzekł jeden ze śledczych.

- A więc zaprzeczacie temu co napisano na podstawie zeznań świadków?

- Tak. Zaprzeczam wszystkiemu. To wszystko wysrane z palca przez czło-wieka niespekna rozumu.

- A kto werbował do organizacji? Kto przeprowadzał zaprzysiężenia?



członków?

Ogarnął mnie lęk. Jaka organizacja? Jakie przysięgi? Kto tu przy zdrowych zmysłach?

- Ja was zupełnie nie rozumiem? Czego wy ode mnie chcecie?

- Nie bój się kanalio. Wszystko zrozumiesz, ale to będzie twój koniec. Zachciało się Polaczкови konspiracji, sabotaży, podniesionym głosem mówił pułkownik.

- Byłeś chory na grype?

- Tak.

- W którym baraku leżałeś?

- O ile nie mylę się, to w czterdziestym szóstym.

- Ilu was tam było?

- Pełny barak.

- A może pamiętasz, że w tym baraku przeprowadzałeś zaprzysiężenie trzech członków?

- Panie pułkowniku. Możecie mnie uważać za największego, waszego wroga, ale proszę ze mnie nie robić dumia. Jestem starym konspiratorem i wiem, jak należy takie sprawy załatwiać. Przecież to musiało dzieć się na oczach całego baraku. Wiemy dobrze, że macie wszędzie swoich donosicieli. tak zwanych "seksotów" /tajnych donosicieli/.

- A może celowo daliśmy wam swobodę działania, by nagromadzić więcej materiałów?

- To wasza sprawa. Ja mówię o sobie, o tych zmyślonych konspiratorach. My tak idiotycznie postąpić nie mogliśmy. Jak wy możecie w te wzdury uwierzyć? Przecież to nie konspiracja, a dom wariatów.

Wróćmy na chwilę do zebrania w łaźni. Wiecie o tym doskonale i łatwo to sprawdzić, że do łaźni chodzimy brygadami, a w mojej brygadzie nie ma ani jednego Polaka. Czy to wam nie przemawia do przekonania? Sprawa zbyt grubymi nićmi szyta.

- A może powiesz nam dlaczego w nocy kręciłeś się w pobliżu wagonów kolejowych na kopalni?

- Tak. Kręciłem się. To jest prawda.

- Ot, nareszcie jest coś prawdą, rzekł tryumfująco pułkownik.

- A dlaczego nie czekałeś na brygadę w szatni?

- Tam zbyt dużo smrodu. Wolałem czekać na świeżym powietrzu.

- Patrzcie, patrzcie, jaki u niego pański "niuch" /węch/

- A, kto pomagał ci delektować się świeżym powietrzem?

- Nikt.

- Jak to, z kim nie spotykałeś się tam?

- Dlaczego miałem spotykać się tam, z kimś? Nie było ku temu potrzeby, ani to odpowiednie miejsce na randkę.

- Tak sądzisz? Szkoda tylko, że my mamy inne, wiarygodne relacje, które dokładnie mówią z kim i w jakim celu spotykałeś się tam.

Może wy wiecie, ale ja nic o tym nie wiem i sądzę, że ktoś wprowadził ~~ci~~ was w błąd.

- Nas głupi Polaczku oszukać nie można. Jeżeli coś mówimy, to mamy na to dowody, absolutną pewność, a twoje wykręty pogarszają tylko twoją sprawę. Wiesz o tym dobrze, że sabotaż, antypaństwowa działalność grozi ci karą śmierci i od niej nie wykręcisz się.

Było mi wszystko jedno. Zrozumiałem, że uwikłano mnie w sprawę, z której nie miałem szans wydobyć się. Stałem i spokojnie patrzyłem na ludzi, którzy chcieli mi wydrzeć tajemnicę, której nie posiadałem.

Zaległo chwilowe milczenie, które przerwał kapitan Ignatiew.

- A może pamiętasz, jakie polecenia dawałeś Bauerowi, który pracował w warsztatach kolejowych?

Marian Bauer to młody warszawianin. Spalony na terenie Warszawy, został przerzucony do oddziałów partyzanckich w okręgu wileńskim. Walczył w zgrupowaniu generała Wika/płk Krzyżanowski/ i brał udział w zdobywaniu Wilna. Po szej, zgrupowanie zostało rozbrojone, a jego uczestnicy, jako nagrodę otrzymali po dwadzieścia lat katorgi i zesłani na Sybir do obozów pracy.

Czyżby ten młody, inteligentny chłopak został wciągnięty w jakąś kabałę i teraz sypie?

- Jakim prawem mogłem mu wydawać lub komukolwiek polecenia, czy też rozkazy? Jestem zwyczajnym więźniem, pracującym, jako górnik.

- Prawem konspiracyjnego dowódcy - rzekł pułkownik.

- Ja was naprawdę nie rozumiem. Zadajecie mi pytania. Stawiacie zarzuty, a ja nie mogę dać ~~ci~~ na nie żadnej odpowiedzi i zupełnie nie orientuję się do czego ta cała historia doprowadzi, do czego zmierza?

- Nie bój się - rzekł pułkownik, zaprowadzi cię ona wysoko i nie tylko ciebie. Na was damy przykład, jak należy postępować z buntownikami. Damy ci dowody. Przyprzemy do muru i nie wiemy czy starczy ci odwagi i tupetu w dalszym zaprzeczaniu, w twierdzeniu, że niczego nie wiesz, niczego nie rozumiesz. Nie chcemy ciebie zbyt mocno przyciskać, gdyż ciępisz na wielkiego człowieka, a w rzeczywistości jesteś glista, baba, która przyciśnięta do muru traci przytomność. Nie bratku. Nie chcemy byś tak szybko skończył, uciekł nam spod sznura. U nas za wszystko trzeba płacić i to dobrze płacić. Dam ci jeszcze jedno pytanie. Powiedz, czy znasz Załugę? To twój rodak.

- Zam go, ale nigdy z nim nie rozmawiałem. On pracował w chlebo-rezce / miejsce gdzie wydawano chleb/ i tam czasami brałem dla brygady chleb. Tacy, jak on nie mogli być moimi przyjaciółmi.

- A to dlaczego?

- Wy lepiej o tym wiecie. Takiej roboty, jak w chlebo-rezce, czy na kuchni nie daje się dla pięknych oczu. Zresztą on był gestapowskim szpiclem i

nasi mieli go wykończyć. Szkoda tylko, że tego nie zrobili. Teraz swą podłą robotę oddaje nowym panom, którzy i tu...

Nie dano mi skończyć, gdyż tego cios kapitana zwałił mnie z nóg.

Podniosłem się z podłogi, wycierając krew płynącą z nosa.

- Wystarczy na dzisiaj, rzekł pułkownik, a na zakończenie powiem ci jedno by dobrze odpoczywało się. Przy wagonach kolejowych spotykałeś się z maszynistą kolejowym Grigoriem, który dawał ci instrukcje co i jak masz robić. Mamy jego zeznania, tylko nie chce powiedzieć z czyjego rozkazu to robi, ale nie bój się, powie on, powie. Wszystko wyśpiewa ptaszek. Siedząc na przyczepie rozważałem. Byłem w wielu trudnych, ciężkich, a nawet tragicznych sytuacjach, ale w takiej, jak obecna nigdy. Jestem pod zarzutem konspiracji i diabli wiedzą czego tam jeszcze.

Kto jest inspiratorem całej afery? Musią mieć dowody skoro wytoczyli sprawę. Jaki ona ma zasięg i kogo jeszcze prócz naszej piątki obejmuje? A może to wszystko ukartowane, by nas wykończyć? Tylko komu potrzebna nasza śmierć? Żywi przedstawiamy pewną wartość roboczą. Martwi są bez wartości. Komu ich nędzne osoby przeszkadzają? Żaden z nich nie jest personą, której obawiają się, którą należy usunąć, gdyż martwi milczą. Takie rozgrywki mogą mieć miejsce u nich na górze, ale nie wśród takich, jak my. Z czego to wszystko powstało? Względnie co dało temu początek? Dlaczego tym bzdurem dają wiarę? Odpowiedzi na żadne z tych pytań nie otrzymałem. Drewniane ściany celi milczały.

Na przestrzeni tych kilku lat spędzonych w obozie, wiele razy śmierć zaglądała mi w oczy. Wiele razy tylko cudem unikałem jej, ale teraz w sytuacji najmniej oczekiwanej, zapewne nie wymiń się jej.

Biedaku. Los twój toczy się ślepym torem przeznaczenia i ty w tej sprawie nie masz nic do powiedzenia.

Myślę, jem, śpię snem zającą i tak w koło. Nie wiedziałem kiedy dzień, a kiedy noc. Z nudów oglądałem ściany. Nie były podobne do ścian więzienia we Lwowie. Tamte były murowane, brudne i zapisane na całej przestrzeni. Były one żywą historią tych, którzy tam siedzieli. Były ich powiernicami w samotnym, tragicznym odosobnieniu. Ściany tego więzienia były drewniane, zrobione z grubych bali. Szpary utykane konopnym sznurem. Widać, że to nowy budynek, przybytek cierpień. Nie miał on jeszcze swej tragicznej historii. Będą ją pisali tacy, jak tych pięciu, zamkniętych tu Polaków.

Do pokoju śledczego wdzierał się przez brudne firanki jasny, wesóły promień słońca, ~~śledczego~~. Jednak i on nie mógł zmienić ponurego i wrogiego nastroju, jaki panował w tym przybytku katuszy.

Komplet siedział za stołem. Palili papierosy i patrzyli na więźnia, jak na eksperymentalną małą, jak na doświadczalnego królika. Dym i smrodliwa woń machorki rozchodziły się po całym pokoju.

Stałem pod ścianą i czekałem, a oni patrzyli, wiercili oczyma ofiarę i czuli zapach krwi, a stojącemu co pozostało? Patrze<sup>c</sup>, milcze<sup>c</sup> i nie okazywa<sup>c</sup> zdenerwowania, czy też strachu. Łatwo tak mówi<sup>c</sup>. Mędrkowa<sup>c</sup> każdy potrafi, ale zdoby<sup>c</sup> się na taki sposób, w tak napiętej sytuacji, niewielu potrafi.

- Dlaczego przedkłada się to grobowe milczenie? Prześladowany dobrze wie, że czasami takie milczenie, jest psychiczną torturą. Napięte nerwy ofiary to dla nich zabawa, relaks. Czekają aż pękną te sznury przewodzące wrażenia, myśli i rozkazy.

Nareszcie pułkownik odłożył machorkowego papierosa, poprawił się w krześle i rzucił przez zęby rozkaz: Wprowadzi<sup>c</sup> do pokoju wprowadzono Załugę. Był bardzo blady, a oczy jego biegały niepokośnie. Nie patrzył na mnie.

Czy znasz go, zapytał mnie pułkownik?

- Tak. To Załuga.

- Mówiłeś, że z obecnym tu Załugą nie utrzymywałeś żadnych znajomości?

- Tak. Nigdy z nim nie rozmawiałem.

- Czy dalej podtrzymujesz swoje zeznanie złożone na śledztwie?

- Tak. Podtrzymuję w całej rozciągłości.

- Zobaczymy co na to powie Załuga? Słuchaj Załuga, gdzie poznałeś obecnego tu Prassa?

- Poznałem go u Kraszewskiego, gdzie często bywał i psioczył na stosunki obozowej całej ustrój sowiecki. Przychodził do mnie do chleboreski i prosił mnie o chleb.

- Ten Judasz kłamie. Jego sprzedajny chleb, nie przeszedł by mi przez gardło.

- Milcz-psie, ryknął Iwanow.

Patrzyłem na tego wyrodka i walczyły we mnie dwa sprzeczne uczucia: litości i obrzydzenia.

Załuga trząsk się, jak galareta. Na czoło wystąpiły mu krople potu, a ze ściśniętego gardła z trudem wydobywał się głos.

- Pomyślałem: ofiara, albo gadzina.

Załuga mówił dalej.

- Jeden z naszych, niejaki Zarzycki opukiwał mnie, a gdy przekonał się, że jestem dobrym materiałem zaproponował udział w organizacji. Ceremonię zaprzysiężenia przeprowadził on i wskazał na mnie palcem.

- Gdzie obchodziliście święto 11 Listopada?

- W łaźni.

- Ilu was było?

- Dobrze nie pamiętam, ale około dwudziestu było.

- Gdzie byłeś świadkiem składania przysięgi przez innych?

- W baraku chorych na grypę.

--ZZ kim spotykał się Prass na składzie drzewa?

- Z maszynistą kolejowym, który zabierał wagony.

W W jakim celu spotykali się?

- Prass otrzymywał polecenia i składał meldunki.

- Jakie cele miała organizacja do realizacji?

- Bunt w obozie i dywersja w postaci niszczenia sprzętu i maszyn kopalni - nianych.

Słuchałem tych bredni i nie miałem pojęcia skąd u niego tak fantastyczne i bzdurne wiadomości? Nasuwało się pytanie: czy myśl o prowokacji wyszła od Załugi, czy był tylko narzędziem w ręku beriovców?

Ale w jakim celu NKWD urządziło to całe widowisko? Ta druga możliwość odpadała. Inicjatorem musiał być Załuga, tylko w jakim celu? Oskarżony słuchał cierpliwie tych bredni, ale gdy Załuga zaczął mówić o celach organizacji, nie wytrzymał. Skoczył do niego. Flunął w ten podły pysk i krzyknął:

- Przekłęta, głupia kanalio, nas zgubisz i siebie nie uratujesz!

Oderwano mnie od prowokatora i zaczęto uczyć rozumu, ale w tym momencie żaden ból nie dochodził do mej świadomości. Panowało we mnie jedno, jedyne pragnienie, zetrzeć gadzinę, które było moim rodakiem. Wyrwa z ciała podłą duszyczkę, która z premedytacją gubiła niewinnych ludzi, by ratować siebie. Opanował się w celi obity i rozbity, jak stary garnek.

Obojętne było czy Załuga spełniał rolę prowokatora, czy był tylko narzędziem. W obu wypadkach biła naiwność zarzutów, biła wprost w oczy.

Jak ten doświadczony agent śledczy mógł iść na lep takich bredni lub takie brędnie wymyślać i kazać powtarzać je Załudze.

Dziesiątki razy analizowałem przebieg śledztwa i coraz bardziej upewniałem się w przekonaniu, że to jakaś fatalna omyłka, która musi znaleźć rozwiązanie w prawdzie.

Jestem znowu na śledztwie. Padają pytania ze wszystkich stron. Żądali bym podpisać zeznanie Załugi, jako zgodne z prawdą. Opór starali się złamać biciem, ale to nie pomogło. Wiedziałem dobrze, że jedyny ratunek w zaprzeczaniu fałszywych dowodów Wreszcie i oni mieli dość. Nastąpiła przerwa w bijaniu się do rozumu.

Po krótkim odpoczynku, pułkownik zaczął z innej beczki.

- Słuchaj dumnie. Dlaczego z takim uporem zaprzeczasz wszystkiemu? Zawsze zeznanie Załugi. Ono zupełnie was zdemaskowało.

Pozwól ci przyjąć mi do słowa.

- Nu, gawari swołocz.

- Załuga twierdzi, że spotykałem się z maszynistą na kopalni. On pracuje w obozie i nie ma prawa wstępu na kopalnię. Jak mógł mnie tam zobaczyć? W jaki sposób mógł wiedzieć co ja przekatuję maszyniście i jakie rozkazy

od niego otrzymuję? Chyba nie wierzycie, że ja z tego spowiadałem się przed nim. O Absurdalnym spotkaniu w łaźni mówię. W tym czasie, gdy leżałem chory na grype, Załugi tam nie było, co łatwo stwierdzić w kartotekach izby chorych. Wreszcie stwierdzam z całą odpowiedzialnością, że on was oszukuje i nie mogę pojąć, że wy tego nie widzicie?

- Wszystko zapytał pułkownika?

- Tak.

- Odprowadzi go do celi. To mówiąc wyszedł z pokoju.

Masowałem swoje, poobijane ciało, gdy nagle jakiś jęk i szloch dochodziły z sąsiedniej celi. Ostrożnie zacząłem odrywać uszczelnienie między belkami. Zrobiła się mała szpara. Przyłożyłem do niej oko i zajrzałem do wnętrza. Zobaczyłem plecy jakiegoś człowieka, który leżał tyłem do ściany. Obserwowany postękiwał, a czasami cicho szlochał. Zapewne była to jedna z ofiar śledztwa. Leżący z wielkim trudem podniósł się i siadł. Widziałem go teraz dobrze. To był Polak Petryk, wilnianin, z zawodu inżynier, syn bogatych rodziców, osadzony o kolaborację z Niemcami. Z takimi, jak on stosunki były bardziej niż chłodne. Takich, jak on inny był świat, w którym żyli. Oni zbijali pieniądze, a akowcy narażali swe życie i swoich najbliższych, często żyli w ciężkich warunkach. Ci pierwsi używali, a ci drudzy walczyli i cierpieli. Zaciekawiko mnie to, że taki, jak Petryk mógł tu wpaść? Przecież nie mógł mieć nic wspólnego z nami. Po co więc sprowadzili go tutaj?

W pierwszym odruchu chciałem do niego przemówić, ale wstrzymałem się. Z takim lepiej nie wdawać się w rozmowy. Zatkąłem ostrożnie otwór i leżałem na pryczy. Nie mogłem jednak zasnąć. Cholerne ciało dawało o sobie znać. Myślałem długo o tym co powiedziałem na śledztwie i jak będzie reakcja ze strony moich prześladowców? W końcu sen mnie zmógł.

Zbudził mnie strażnik, który przyniósł śniadanie. Jedząc myślałem co przyniesie nowy dzień? Jakie nowe sztuczki zaprezentują na śledztwie? Co nowego wymyślił Załuga? Nikt narazie nie zakłócał spokoju.

Po obiedzie wezwali mnie na śledztwo. Ciągłe te same pytania. Widać, że dalej tkwią w swym uporze. Dalej idą po swojej linii mimo wykazywanych błędów w zeznaniach Załugi. Nie mogłem zrozumieć dlaczego absurdalne zeznania Załugi są nadal podtrzymywane? Starąłem się dalej wykazywać już nie absurdalność zarzutów, a wręcz ich głupotę. Pytali dalej o maszynistę, z którym rzekomo spotykałem się. O konfrontacji z nim nie wspominali. Widocznie osoba maszynisty była czystą fikcją. Wyjaśniałem śledczym że tor kolejowy jest pod ścisłą obserwacją straży, by czasami ktoś z więźniów nie próbował szczęścia wyjazdu wagonem poza teren kopalni, że rozmowy więźnia z wolnym musiały budzić podejrzenie. Na te wszystkie argumenty byli głusi i ślepi.

Na ostatnim śledztwie padło pierwszy raz nazwisko Petryka. Pytali czy go znam? Dałem odpowiedź przeczącą. Sądziłem, że Petryk uczyni to samo,

gdyż znajomość ich była bardzo luźna. Im mniej znajomych tym lepiej. stała się inaczej.

Mijały dni nerwowych oczekiwań, męczących pytań i niepewności co będzie dalej? Dobrze już nie bili. Czasami dziwiło mnie to, ale człowiek szybko przystosowuje się do lepszego. Leżałem na twardej pryczy i zastanawiałem nad zaistniałą sytuacją, bo nic innego mi nie pozostało. Wiedziałem, że za ścianą leżał Petryk, ale nie miałem ochoty z nim rozmawiać. Był to rodzaj asekuracji, a może był to błąd? Nie ufałem temu gagatkowi. Czasami miałem ochotę powiedzieć mu, że pytali o niego, ale coś wstrzymywało mnie od tego kroku.

Strażnik, jak zwykle ściągnął mnie z pryczy i zaprowadził na śledztwo. W pokoju, jak zwykle komplet śledczych. Kazano mi usiąść. Dziwna i przyjemna nowina. Siedzący człowiek i stojący przed nim inny, przypominał mi pana i lokaja. Ta niespodziewana uprzejmość wzbudziła u mnie nieufność. Miej się synu na baczności. Trzymaj się bracie, bo mogą cię lada chwila tak kropnąć, że zlecisz ze swego tronu. Zmiana humorów u tych panów następuje bardzo szybko. Ani spostrzeżesz się, jak rękoczynny pójdą w ruch. Jak zwykle przesłuchanie zaczął pułkownik.

- Twierdzą, że nie znacie Petryka?

Miła forma przejścia z ty na wy, zwiększyła jeszcze bardziej czujność i mój niepokój.

- Tak. Nie znam go.

- Namyślcie się dobrze, gdyż wiemy, że znacie go.

- Powiedziałem, że go nie znam, a gdybym nawet znał, to nie widzę potrzeby, dla której miałbym wypierać się znajomości z nim?

- Udowodniłobyś nam tyle kłamstw, że ilość ich zupełnie nam wystarcza, ale dla nauki udowodnimy wam jeszcze jedno. Wprowadzi, rzekł głośno.

Drzwi otworzyły się i wszedł Petryk.

Był teraz pod obstrzałem wielu oczu. Badali moją reakcję na widok wchodzącego. Nie mógł -- mógł żanym gestem okazać swoim zachowaniem, że wchodzący osobnik jest mu znany lub uleży zdenerwowaniu. Petryk wyglądał bardzo źle. Widać było po nim, że dostał mocno. Stał spokojnie i nie patrzył w moją stronę. Ja ze swej strony starałem zachować się, jak najbardziej obojętnie.

- Wiesz kto to, zapytał pułkownik?

- Nie. Nie wiem, odpowiedziałem.

- Przypatrz się dobrze. Przecież to twój dobry znajomy.

- Powiedziałem już, że nie znam tego osobnika.

- Ale z ciebie uparty człowiek. Dlaczego brniesz w kłamstwie? Ty przecież znasz go dobrze. Razem prowadziliście wywrotową robotę. Petryk wszystko nam dobrowolnie powiedział. Wystarczy ci to, czy nie?

- Nie znam go, jeżeli potwierdził zeznanie Załugi, to jest takim samym prowokatorem, jak Załuga.

Fukownik zwrócił się do Petryka:

-Znasz go?

- Tak to Pass. Często spotykałem się z nim. On mnie wcignął do organiza -  
cji. Z jego polecenia pomagałem Bauerowi w sporządzaniu ładunków do ni -  
szczenia urządzeń kopalnianych.

Miało mnie szlak nie trafił słysząc to, co mówił nowy świadek.

Co miałem na to oszczerstwo powiedzie<sup>c</sup>? Zaprzeczenia, krzyki, zaklinanie  
tu nie pomogą. Prawdę mówił ten, który zeznawał pod ich dudkę.

Zaskoczyło mnie jedno. Przecież zeznanie Petryka obciąża również i jego,  
a to oznaczało koniec dla obu. Zeznanie jednego świadka miało mniejszą  
wagę, ale zeznanie dwóch dużo, a właściwie wszystko. Petryk sam na siebie  
wydał wyrok.

Próbowali zadawa<sup>c</sup> mi nowe pytania, ale ja milczałem, zwiesiwszy głowę.

Zrozumiałem, że walka o prawdę przegrana<sup>je</sup>, fałsz i prowokacja tryumfują.

Nie pomogły rękoczynny przynaglające do odpowiedzi, do zeznań. Beznadziej -  
noś<sup>c</sup> sytuacji bolała mocniej aniżeli baty siepaczy. Nic nie mogłem zmie -  
ni<sup>c</sup> mej tragicznej sytuacji, po zeznaniach koronnych świadków. Nie mogłem,  
Nie miałem prawa dalej ludzi<sup>c</sup> się. Cztery, nagie ściany celi były świad -  
kami moich gorszkich rozmyślań. Dziwny chłód przenikał moje ciało, lecz  
nie było miejsca na rozpacz, ~~było~~ załamывanie rąk, żalu, że wszystko  
skończono. Został tylko ból spowodowany tym, że do tego stanu doprowadzili  
mnie rodacy, a zapewne nie tylko mnie?

Nagle ogarnęła mnie pasja. Tam za ścianą siedzi ten, który z pełną świa -  
domością kłamał. Gubił siebie i innych. Dlaczego wybrał samobójczą meto -  
dę? A może liczy na pobłażliwoś<sup>c</sup>, na łagodniejszy wymiar kary? Może  
sądzi, że jego serwilizm, okazana pomoc w zdemaskowaniu rzekomych przes -  
tępców wybawi go z opresji? Przecież to kretynizm. Oni nie darują nikomu.  
Wymęczą, wykorzystają człowieka, a potem zrobią swoje. Czy on tego nie ro -  
rozumie? Czyżby tak słabo znał ich metody, sposobów niszczenia rzeczy -  
wistych, czy też urojonych wrogów? Rzuciłem się ku ścianie i zacząłem wra -  
wa<sup>c</sup> konopne uszczelnienia, by zrobi<sup>c</sup> otwór przez, który zobaczę tego, któ -  
ry jest jednym z prowokatorów, narzędziem w rękach siepaczy.

Zobaczyłem go. Siedział ze spuszczoną głową. Ręce mu drżały, a całe cia -  
ło przechodziły nerwowe drgawki. Jego opłakany stan nie wzbudził u mnie  
żadnych odruchów litości. Gdybym mógł dodałbym do tego co dostał na  
śledztwie.

- Petryk, szepnąłem cicho.

Wezwany zerwał się, jak opętany. Błędym okiem patrzył dokoła.

- Mówiłem dalej. Nie bój się, to ja Pass.

Prześwit w ścianie zaciemnił się. Widocznie wezwany przyłożył ucho do  
ściany.

- Słyszysz mnie dobrze?

- Tak. Co chcesz ode mnie. Tu ściany mają uszy.



- Nie bój się głupcze. Już nic nam nie zaszkodzi. To co miało stać się najgorszego, to stało się. Twoje zeznanie zgubiło mnie, ciebie i i licho wie kogo jeszcze? Jak mogłeś tak zeznawać? Przecież wiesz dobrze, że to kłamstwo wysane z palca

- Oni mnie okrutnie bili. Nie mogłem znieść dłużej tych katuszy.

- Kiedy ciebie zabrali? Tydzień po was.

Słuchaj dobrze. Tu nie ma czasu na dłuższe rozmowy. W każdej chwili może złapać nas strażnik. Zapewne wiesz dobrze, że twoje zeznanie to wyrok śmierci dla ciebie i dla wszystkich wplątanych do tej sprawy. Od Ciebie zależy wszystko. Od bicia można zostać kaleką, można umrzeć, ale zawsze jest szansa, ale od kuli, czy stryczka ratunku nie ma. To musisz sobie uświadomić. Jeżeli chcesz mnie chociażby nikłą szansą uratowanie życia, to musisz wszystko odwołać. Udowodni im bezzasadność i absurdalność zarzutów. Oni dobrze wiedzą, że zeznania pod presją nie mają żadnej wartości. Pod tym wszystkim kryje się coś niezrozumiałego. Może i oni zostali przez Zakęgę wprowadzeni w błąd? Musisz zdobyć się na odwagę i zaprzeczyć wszystkiemu. Wyj, płacz, ale wiedz o tym, że to jest droga ratunku. Jesteś przecież młody. Chciałbyś jeszcze oglądać ten świat? W naszych warunkach niejedno może zmienić się.

Nie pamiętam już, jakich użyłem argumentów, aż w końcu przekonałem go. Złożył przysięgę, że wszystko odwoła.

Pięty dzień mijał, a mnie nie wócali na śledztwo. Nikt nie zakłócał o spokoju. Zwolną wracałem do równowagi, po otrzymanych rękoczynach. Pobicia i siniaki zwolna zmieniały swój kolor. Pukałem i zaglądałem do celi Petryka, ale nikt nie odpowiadał. Nie miałem pewności, czy Petryk dotrzymał słowa. Z takim to różnie bywa.

Od leżenia na gołej pryczy bolały boki. Każda deska odbita na ciełe. Chodzić nie można, gdyż powierzchnia celi na to nie pozwala. Mogłem tylko stać, co też często czyniłem.

- Co mogło takiego zająć, że wszystko nagle stanęło w miejscu? Czy może nowe zeznanie Petryka? A może Zakęgę ruszyło? Może pułkownik i jego świta spostrzegli, że wodzą ich za nos? Zadziwiająco, że od razu tego nie spostrzegli? Baran by się na tym poznał, a cóż dopiero specje spod znaku NKWD. A jednak coś tu nie gra? machnąłem ręką na wszystko, bo zrozumiałem, że tego namotanego kłębka nigdy nie rozsypkam. Ale po małej przerwie, myśli z uporem zaczęły krążyć dokoła zagmatwanej sprawy. Miałem teraz wiele czasu na myślenie. Mogłem spokojnie analizować każdy krok swego życia. Dobre i złe strony postępowania. Wiele bym zmienił. Lepiej podchodzić <sup>być</sup> do niektórych spraw, zagadnień, ale to przeszłość nie odwołać. Modelowa można na bieżąco i każdy czyni to na swój sposób. Więźniowie, lokatorzy workuckich łagrów nie mieli ~~tego~~ prawa. Nie wolno im myślać sięgać nawet do dnia jutrzejszego, gdyż nie oni są decydentem

swoich zamierzeń, czy też kroków. Jak mażne, bez treści może być życie ludzkie odarte z radości i uśmiechu? Życie ubogie w treści i wymagania, życie obliczone na dzień dzisiejszy, bez jutra.

Dał słyszeć się wyjątkowy ruch na korytarzu. Do celi dochodziły głośne rozmowy, które były przeplatane zgrzytem odwieranych drzwi i zamykanych z trzaskiem. Co to mogło znaczyć? Odpowiedź przyszła za chwilę. Otworzyły się drzwi mej celi. Rozległ się głos strażnika: Wychodzić. Wezwany znalazł się na korytarzu i chciał iść znaną drogą do śledczego pokoju, ale strażnik skierował go w inną stronę. Wyszli na podwórze na którym - o zgrozo stał czarny woron/ samochód, którym wożono skazańców na śmierć/a przy nim oficerowie śledczy. Robili wrażenie warty honorowej, a dla mnie warty grabarzy. Szedłem obok niecodziennego szpaleru i z trudem wlażłem do środka jeżdżącej trumny. Konwój wepchnął mnie do jednej z klatek i zamknął drzwi. Ruszyli. Nagle z prawej i lewej strony rozległy się kołatania. Przez szparę ścianki zobaczyłem Olka Zarzyckiego. Z drugiej strony coraz mocniejsze kołatanie. Popatrzyłem i tam. To Bauer, blady jak ściana. Jeden i drugi zaczęli zasypywać mnie gradem pytań. Oczekiwali słów pociechy, ale co można w takiej chwili powiedzieć? Kto wie czy w danym momencie nie czułem się gorzej pod nich. Miałem ich pocieszyć, dodać ducha, gdy brak słów, gdy w głowie pustka, a w gardle wyschło. Niepokój chłopców narastał. Już nie pytali, a krzyczeli. Muszę im dać odpowiedź, tylko jaką? Miałem ich uspokoić, gdy sam klepałem paciorki pożegnalne. W końcu przewyciężyłem się.

- Nie krzyczcie. Uspokójcie się. To nic nie pomoże. Jak długo jedziemy, tak długo jest nadzieja.

- To "czarny woron" Tu nie ma nadziei - krzyczał Bauer.

- Uspokójcie się. Wy nie baby. Patrzcie lepiej, gdzie nas wiozą? I sam zacząłem patrzeć przez szparę. Zobaczyłem, że jedziemy przez miasto, jak długo są w nim, tak długo ich życie. Zabudowania rzedniały, a rozpacz narastała, lecz człowiek w najgorszej, beznadziejnej sytuacji doszukuje się ratunku. Czepia się byle czego, jak tonący brzytwy. Podobnie było z nami. Skończyły się zabudowania, ale przecież jedziemy, a to też liczy się. Każdy obrót koła to ukradzione sekundy, dodatkowe sekundy życia.

Chłopcy przestali pukać, krzyczeć. Może i oni czepiali się tej ostatniej uludy? Lecz Zarzycki nie wytrzymał.

- Panie Karolu, to już koniec. Jesteśmy za miastem. Tu gdzieś musi być miejsce na rozwałkę?

- Nie rozpaczaj kochany. Strach i rozpacz tu nie pomogą. Bądź sobą. Jak długo żyjesz, tak długo twoja nadzieja.

Nagle samochód zatrzymał się. Otworzyły się drzwi. Wysiecili z samochodu śmierci. Dość. To cud. Są w obozie. Przecież tu ich nie rozwałą? Patrzyli na siebie, jak opętani. Do bezkrwistych warg i policzków zaczęła wlewać się krew. Wprowadzono ich do jakiegoś baraku. To kaźnia. Jak to g...  
ellu

głośno bije to głupie serce. Bije, jak spiżowy dzwon. Bije hymn pochwalny życia, które wisiąco na włosku.

Golili ich i strzygli. Pluskali się w wodzie, jak kaczki. Z ciepłą wodą wracało im życie. Teraz już mieli pewność, że najgorsze za nimi. Przecież nie po to ich strzygą, golą, kąpią, dają czystą bieliznę, by w końcu rozwalić?

Ablucję wodną przeplatali uściskami. Usta milczały, ale oczy pełne blasku mówiły wszystko. Cienie pod oczyma, że ślady tortur i nie przespanych nocy.

Są znowu w samochodzie. Jaki on inny, prawie sympatyczny. Jedzie się w nim, jak w limuzynie. Czy "czarny woron" zmienił się? Nie. To ich rozpacz zmieniła się w radość, a z nią wszystko zmienione, pełne radości.

Znaleźli się wreszcie w przytułku swej niedoli, w swych celach. Złożyli ręce do podłitywy i dziękowałem Opatrzności za ocalenie. Już drugi raz uciekłem z rąk kata. W tym momencie nie myślałem co mi gotuje przyszły los?

Nie dano mi skończyć modlitwy. Strażnik zaprowadził mnie do pokoju śledczego, ale zachowanie tego pacholka uległo zasadniczej zmianie. Nie popychał, nie obdzielał kułakami, nie wrzeszczał. Jaka siła wpłynęła na te zmiany?

W pokoju siedział dobrze mi znany komplet śledczy. Nikogo nie brakło. Na twarzach i w postawie też widać zmianę. Jakaś różdżka czarodziejska podziałała na ludzi, przedmioty i całe otoczenie. Trzeba oprzeć się здивуwaniu. Nawet najbardziej brutalny kapitan Ignatiew miał wygląd baranka. Kto by posądził go o to, że z takim wyrachowaniem mógł zadawać bolesne cięgi, że jego dłoń padała tam, gdzie najwięcej boli. Jak łatwo z wilka można przeistoczyć się w baranka.

Pułkownik przerzucał papiery, kapitan Ignatiew bębnił palcami po stole, a pozostali patrzyli gdzieś w przestrzeń.

Jak zwykle zaczął pułkownik.

- Siadajcie, rzekł do mnie łaskawym tonem.

Wezwany usiadł na brzeżku krzesła, z miną człowieka zaskoczonoego i czekał co będzie dalej. Zmysły i nabyte doświadczenie kazały mu mieć się na baczności. Wiedział, jak łatwo zmieniają się tu humory, jak gest dobroć duszności przechodzi nagle w zajadłą nienawiść.

- Władza radziecka - zaczął pułkownik - jej organa śledcze zostały wprowadzone w błąd, przez perfidnego prowokatora Zakugę. Prokurator odpowiednio do popełnionej winy przez wymienionego, wyciągnie odpowiednie wnioski. Również dużą winę ponoszą twoi rodacy, którym zachęcało się amarów, pisania listów pod różnymi szyframi. Ten fakt posłużył Zakudze do sfabrykowania tezy o zagrożeniu konspiracyjnym i przygoto -

wanej dywersji.

Słuchałem i ogarnęło mnie zdziwienie. Jakie amory? Jakie listy? Co to miało wspólnego z całą aferą, z ich cierpieniami i pobytem w tym ośrodku katuszy? Milczak jedna<sup>ki</sup> i słuchał uważnie, a pułkownik mówił dalej. Ty i twoi rodacy zostaniecie odesłani do innego obozu, gdzie dalej będziecie odbywali swoją karę. Tu jest deklaracja, na której złożycie pisemne oświadczenie, że o całym zajściu nikomu nie powiecie, pod grozą zdrady powierzonej wam tajemnicy państwowej. Podpisywałem z radością stawiając kulfony i kleksy, by jak najprędzej skończy<sup>ć</sup> jedno z wielu moich gorz<sup>kich</sup> przeży<sup>ć</sup>. ~~porozumienia~~

Od mych kolegów niedoli dowiedziałem się całej prawdy. Oni znali sens słowa "kask" i łatwiej było im wychodzi<sup>ć</sup> z opresji.

A cała sprawa była prosta i romantyczna. Przy pomocy redaka Petkowicza, który jako wolny pracował na kopalni, nawiązali przy jego pomocy korespondencję z rodaczkami w sąsiednim obozie. Jako starzy konspiratorzy nazwali się "Klubem starych kawalerów" w skrócie "kask". O tej całej historii, która miała tak tragiczne następstwa.

Ofiary tej nieszczęśliwej afery przetrwali wszystkie katusze stalinowskich łagrów i przy spotkaniach z humorem wspominają tragiczne czasy.

Opisana prowokacja miała miejsce w 1951 roku w łagrach Worłuty.

W/1632/1K



© ARCHIWUM WOJENNE

### Gorzkie wspomnienia

Tabliczka z numerem katorżniczym, to ślad po tych, którzy oddali swe młode życie na nieludzkiej ziemi, bo tak chciał satrapa Stalin. Bezkresna tundra przykryła ich ciała, a imię ich .....?



Fragment obozowego cmentarzyska przy kop.nr.1 "Kapitalnaja" i samotny krzyż, a obok palik z numerem innego więźnia. Przed krzyżem klęczy inż. Leon Tejwan, modląc się za duszę tragicznie zmarłego inż. Juliana Wiktora.



© ARCHIWUM WILKONIE

Widok z wsi na teren, na którym obecnie znajduje się miasto, a wcześniej  
w tym miejscu były wsi, które nie zostały już widoczne.  
Na tle widać teren, na którym obecnie znajduje się miasto, a wcześniej  
w tym miejscu były wsi, które nie zostały już widoczne.  
Widok z wsi na teren, na którym obecnie znajduje się miasto, a wcześniej  
w tym miejscu były wsi, które nie zostały już widoczne.



Samarytańska Pomoc.

W latach 1955/56, gdy zwolniono więźniów, grupa Polaków zajęła się "cmentarzykami", na których znalazło swój spoczynek wielu akowców...a miejsce tabliczek z numerami stało się kryżem.



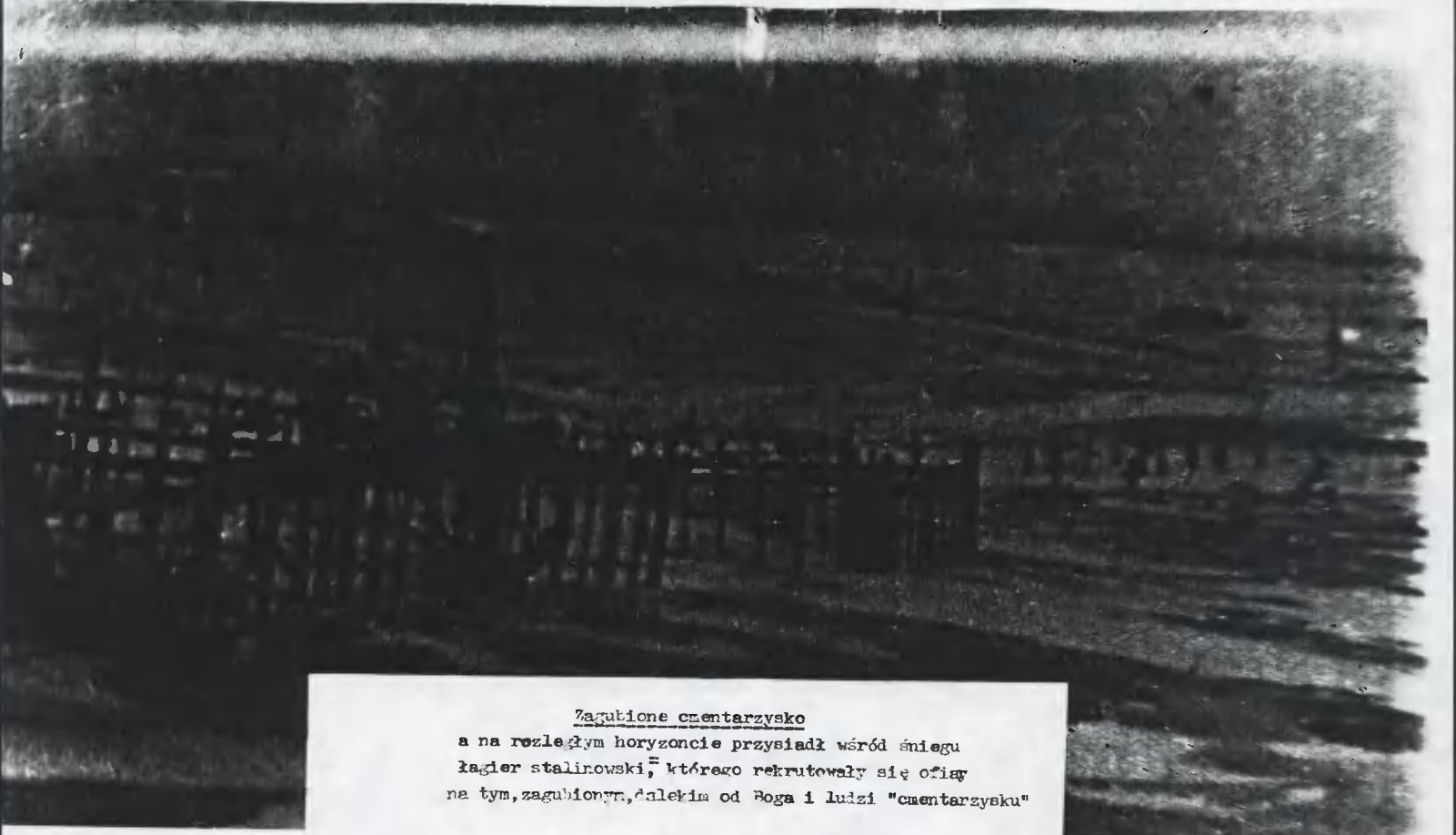
Grób lwowianina.

Miałem w obozie przy kopalni "Kapitalbaja" w Worskucie serdecznego przyjaciela inż. Juliana Wiktora. Ledźcóbok siebie snuliśmy bajkę o powrocie do Ujczyzny. Jego bajka skończyła się. Został w kopalni zmiażdżony skisem, a ciało zalopano w tundrze.

Przed krzyżem Polak Leon Tejwan, modlił się za duszę tragicznie zmarłego.

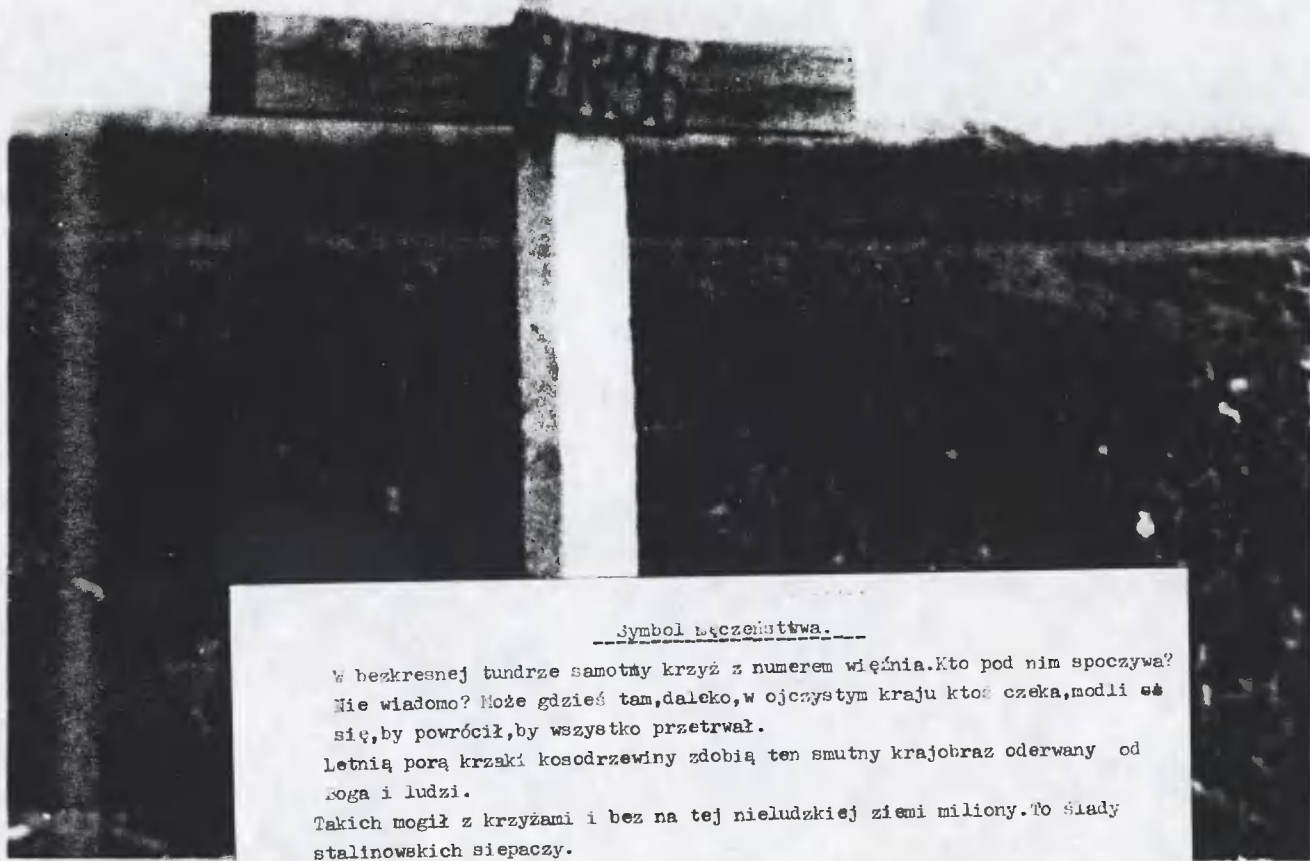
Żegnaj Juliane. Pamiętaj o Tobie wiecznie żywa w naszych sercach.





Zagubione cmentarzysko

a na rozległym horyzoncie przysiadł wśród śniegu  
lagier stalinowski, którego rekrutowały się ofiary  
na tym, zagubionym, dalekim od Boga i ludzi "cmentarzysku"



Symbol Łączności.

W bezkresnej tundrze samotny krzyż z numerem więźnia. Kto pod nim spoczywa?  
Nie wiadomo? Może gdzieś tam, daleko, w ojczystym kraju ktoś czeka, modli się  
się, by powrócił, by wszystko przetrwał.

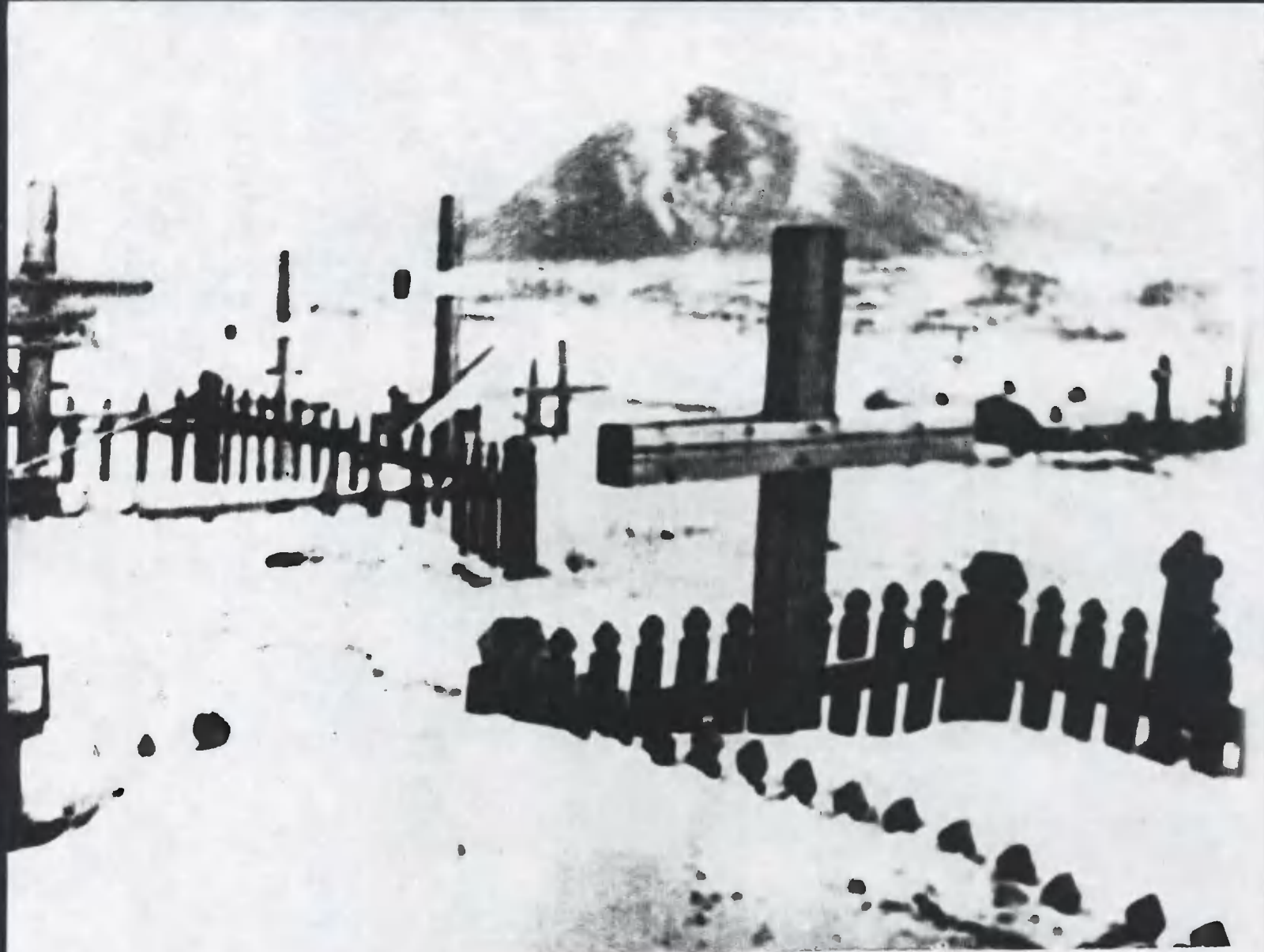
Letnią porą krzaki kosodrzewiny zdobią ten smutny krajobraz oderwany od  
żoga i ludzi.

Takich mogił z krzyżami i bez na tej nieludzkiej ziemi miliony. To ślady  
stalinowskich siepaczy.



-----o jej-----

I o której białej... kto pod nią spoczywa?  
Nie wiadomo? Może jakieś dziecko, w którymś kraju...  
...nie powrócił, by wszystko przetrwać.  
Lecz nie powrócił, bo odeszły dni, a ten kraj...  
...o jej i ludzi.  
W takich momentach...  
...stał...  
...stał...




Amerykańska pomoc.

W latach 1955/56, gdy zwolniono większość więźniów z Łagów, grupa Polaków zajęła się "amentaryszkami", na których znalazło się, mę -  
cześnie, kilka tysięcy więźniów.

Na miejsce usuniętych tabliczek z numerami więźniów, które tkwiły

na drzwiach, wstawiono krzyże i ogrodzenia. Na horyzontale  
na ścianach, widać było ludzką krew i pot. U jej stop znajdował się

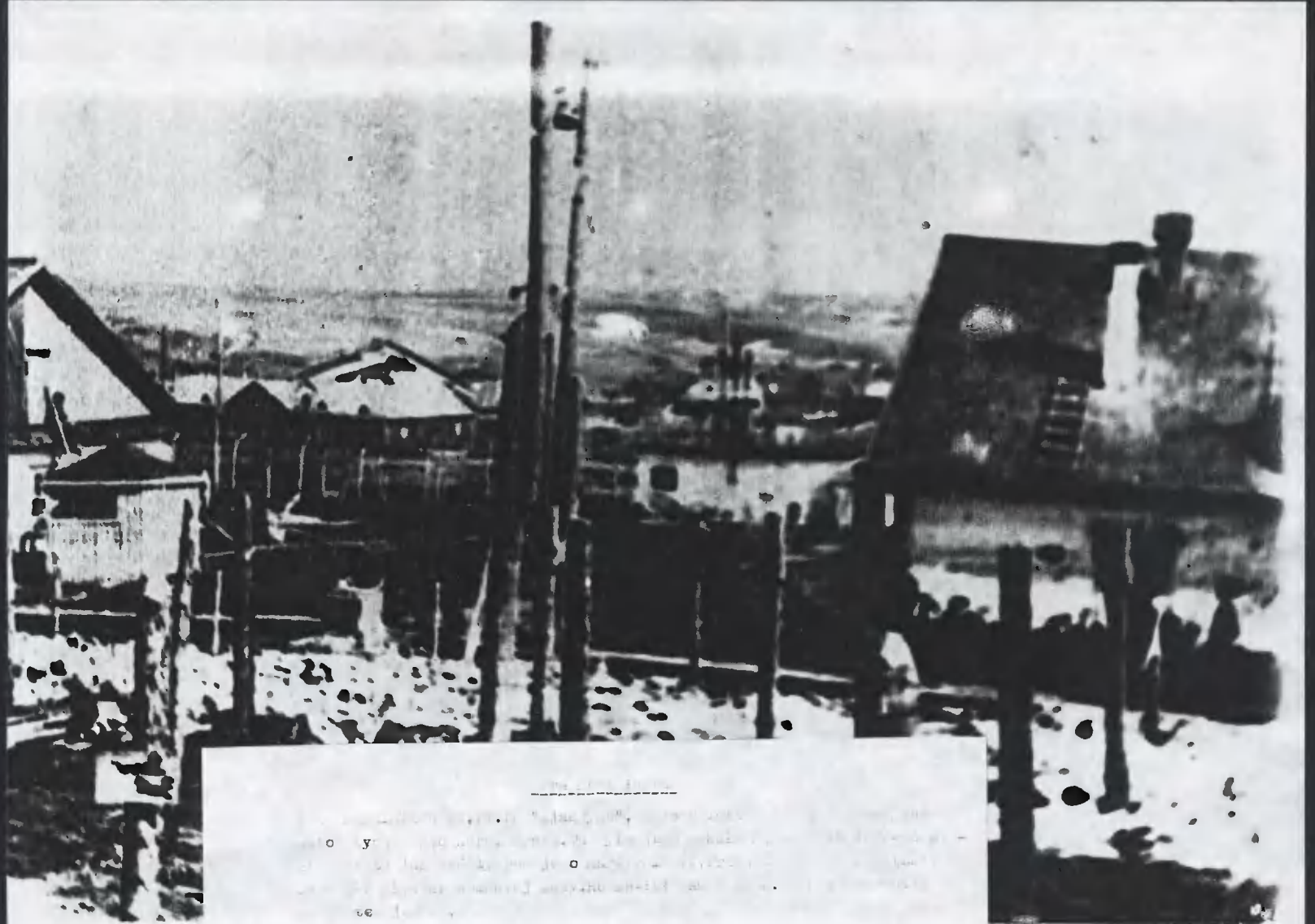
5



Łagier workucki przy kopalni Nr. 3

Na śnieżnej pokrywie śniegu przysiadły nędzne baraki, a na horyzoncie wznosi się hałda.

Ile potu, krwi i istnień ludzkich musiano złożyć u jej stóp, by wyrosła w górę, dumnie znacząc swój byt.



-----  
y  
o  
e  
e



Fragment łagru

przy kopalniach 12,14,16 "Ajaczyga", gdzie w latach 1950/52 przebywał autor tych zdjęć Karol Prass. Tu była jego szkoła nędzy i łagiernego życia. Był to już szósty rok jego martyrologii. Przez te długie i ciężkie lata nie słyszał polskiej mowy. Rozmawiał sam z sobą, by nie zapomnieć ojczystego języka.





Workucki Łązier przy przy kop. "Kapiálnaja"

W Łązierze tym węgłowali między innymi Polakami; dr Jerzy Dobrzański, delegat Rządu na Kraj. Pułkownik Jan Kulikowski jeden z ostatnich dowódców AK w Wilnie. dr Buryło lwowianin podpora i opiekun akowskiej gromady. Karol Prass komendant "Dzielnicy Południe" m. Lwowa. Inż. Bernard Grzywoz komendant "NOWU" i wielu innych, których nazwiska uleciał z pamięci.





na tle fragmentu Warkuty.

Lwowianin, akowiec, aresztowany 1945 r.  
w Lwowie, Utrzymał 20 lat katogi  
zwolniony w 1956 r.

Mieszka obecnie w Bytomiu.

1956



Grupa więźniów Polaków na terenie  
oboju N° 1 w Horokucie.

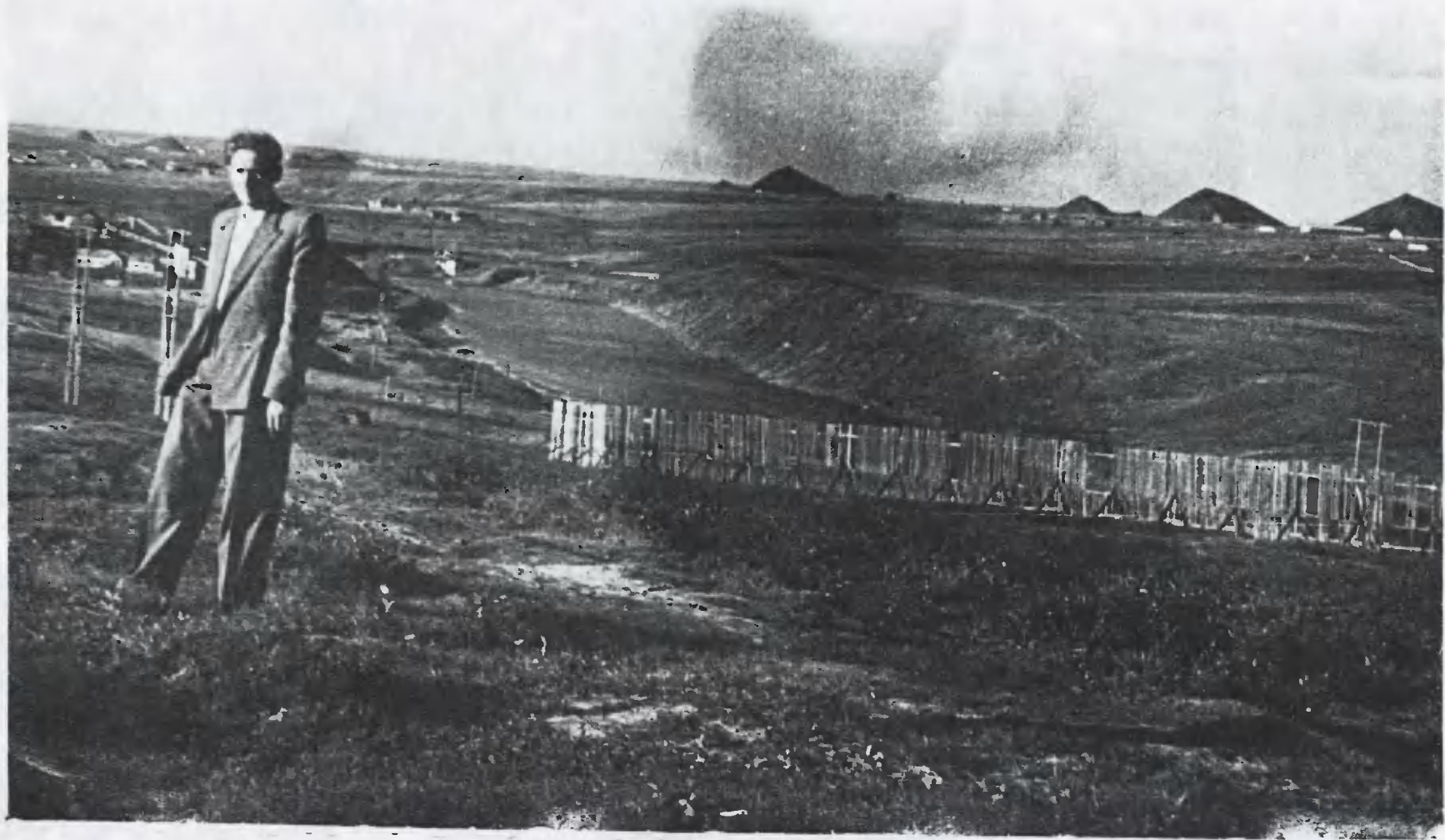
Wojniata 1956 r.



Miasto Hoshuta

Workuckie osiedle





*Rzeka Worłuta*

Rzeka Worłuta

Na horyzoncie hałdy, rezultat krwawego  
potu białych niewolników dwudziestego  
wieku, ofiary beriowszczyzny

Worłuta 1956 r.



Fragment obozu.

Nr. 1 "Kapitalina"

a na jego tle grupa  
więźniów

Workuta 1956 r.



Worhuta. 1900.

Worhucka tundra



*Obóz kobiecy w Worsku*

Na dalekim horyzoncie obóz kobiecy  
w rejonie Worsku "Kierpicznyj zawod"  
/cegielnia/ w którym przebywało wiele  
naszych rodaczek.

Worska 1956 r.





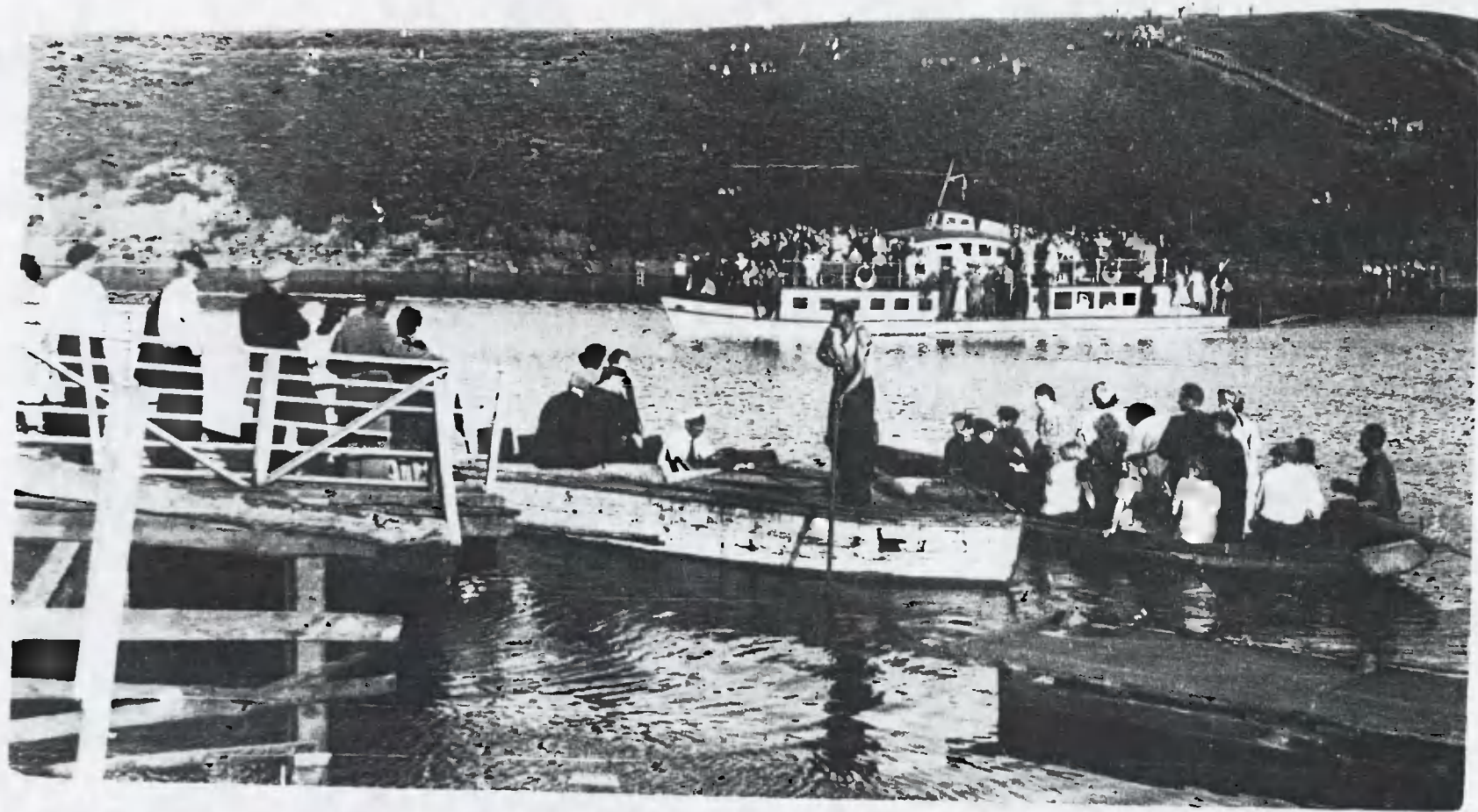
Łagier meski

Nr. 1. w Markucie przy kopalni "Kapitałnaja"

na drugim planie miedzi, żelaza, a drutów  
kolejnych.

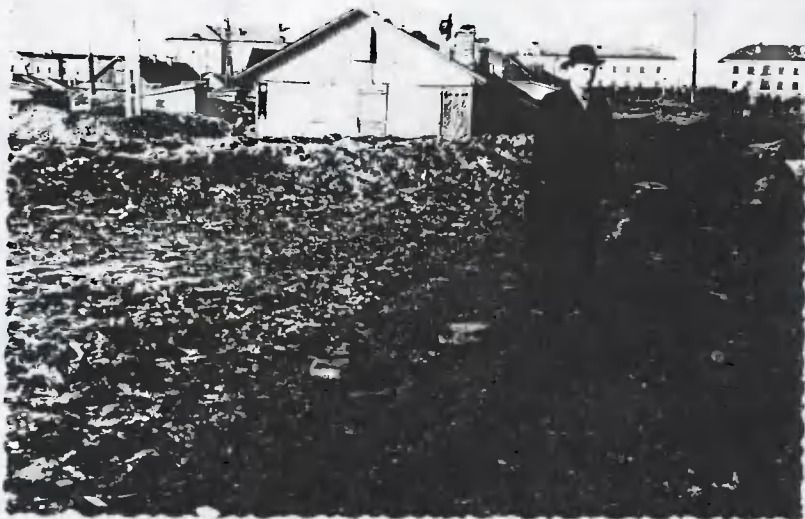
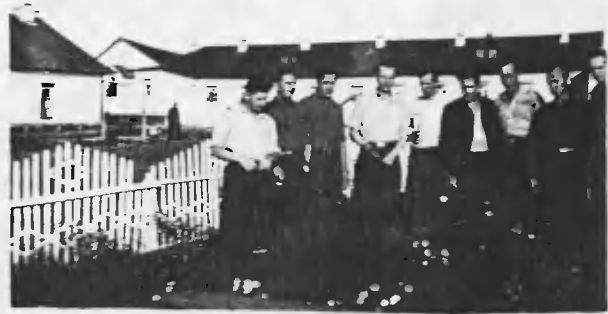


Letni krajobraz Worliny  
Worlota 1956 r.



Byli ~~więźni~~ - więźniowie  
zwolnieni na wieczną wegetację w oko -  
licach Workuty, na swobodnej przejaz -  
dze po rzece Workucie

Workuta 1956 r.



Workuta 1956 r.

Worskuckie osiedle

Worskucka tundra

Worskucka tundra

Fragment obozu

Nr. 1 "Kapitalna"  
a na jego tle grupa  
więźniów

Worskuta 1956 r.

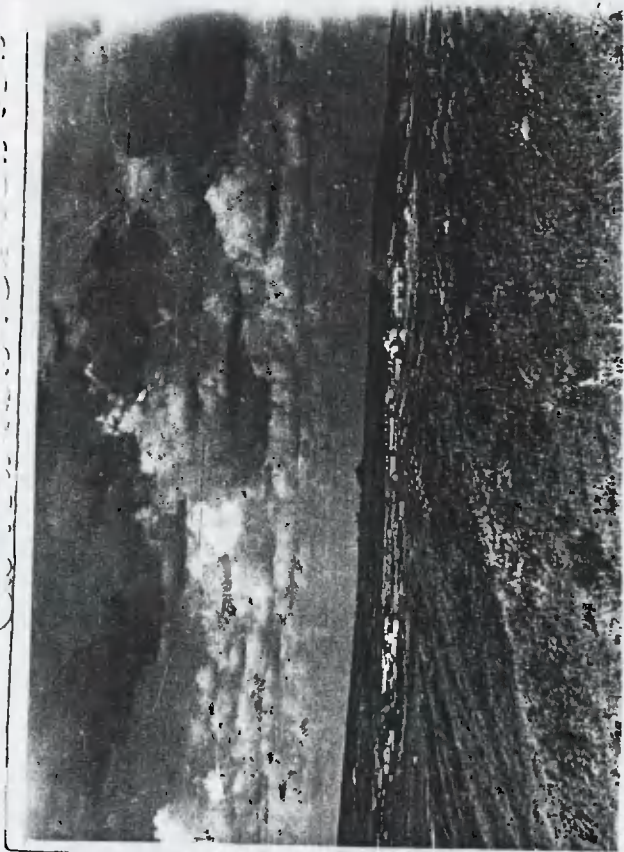
Worskuta

Na horyzoncie białdy, rezultat krwawego  
potu białych niewolników dwudziestego  
wieku, ofiary beriowszczyzny

Worskuta 1956 r.

Worskuta





Obóz kobiety w Workucie

Na dalekim horyzoncie obóz kobiety  
w rejonie Workuty "Kirpičnýj zawod"  
/cegielnia/ w którym przebywało wiele  
naszych rodaczek.

Workuta 1956 r.

Grupa misjonistów Polaków na terenie  
obozu №1 w Workucie.

Workuta 1956 r.

Byli więźniowie  
zwolnieni na wieczną wegetację w oko-  
licach Workuty, na swobodnej przeja-  
zdzie po rzece Workucie

Workuta 1956 r.

Łagier męski

Nr. 1. w Workucie przy kopalni "Kapitalnaja"

Obóz męski №1 w Workucie  
na drugim planie widać kopalnię

Manan Majewski  
na tle fragmentu Workuty

Lwowianin, akowiec, aresztowany 1945 :  
we Lwowie, Otrzymał 20 lat katorgi  
Zwolniony w 1956 r.

Mieszka obecnie w Bytoniu.

1956

Letni krajobraz Workuty

Workuta 1956 r.



Sklep osiedlowy.

Asortyment towarów ograniczał się do chleba, dżemu, margaryny, oleju i śledzi.

Inne towary były dostępne na bazarze, na wolnym handlu.



W takich barakach mieszkali ci, którym los uśmiechnął się i znaleźli się poza zasięgiem drutów.

Zakładali rodziny, pracowali, zapijali swój marny los i czekali na śmierć tyrana, gdyż tylko w tym widzieli zmianę swej doli.



### R Z E K A W O R K U T A

Pomnę cię wodo martwa, lodowata  
szłaś - szerokim w dolinie wymułym jarem,  
obojętna na wszystko co z tamtego świata  
i wrogą otchłanią zakiełała na zgubę i karę.

Wczesnym świtem opary kurzyłaś pobliskie  
za włosy je za sobą ciągnęłaś przez nieznane.  
Wiec się dały bezwolnie, ślepo na przepadłe mgły,  
o brzasku zrodzone, a mroce nad ranem.

Nie umiałaś, a może nie było ci warto  
brać sobie z brzegów co szły z tobą  
łóz i gliny szarżyzną płową i upartą,  
ty północna, bezduszna, bezbarwna wodo.

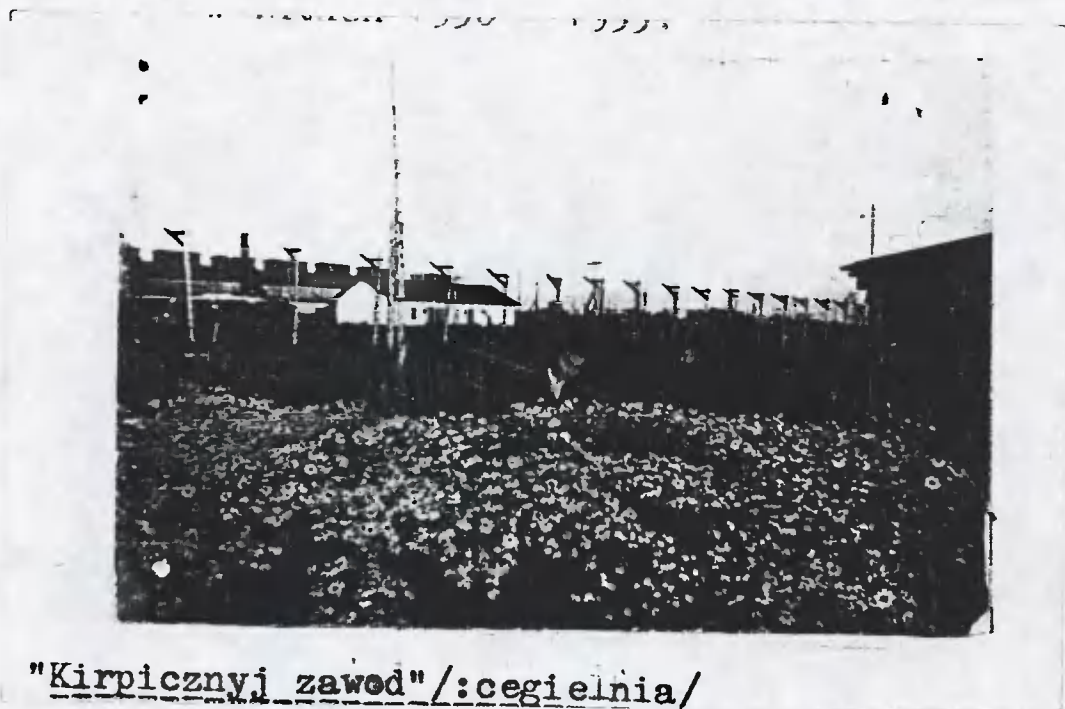
I dopiero, gdy zachód łuną morelową  
od Urala śnieżnego wspierał grozę iutą  
urieczona i płaska z uległego strachu  
śmiertelne jego piękno podwoiłaś Workuto.

Napisała Beata Obertyńska, Polka  
skazana na katorgę za przynależność  
do Armii Krajowej. Karę odbywała  
w obozach Workuty.



Samotna, zamyślona Polka, której myśli biegną ku rodzinnym stronom.

Workuta 1956 r.

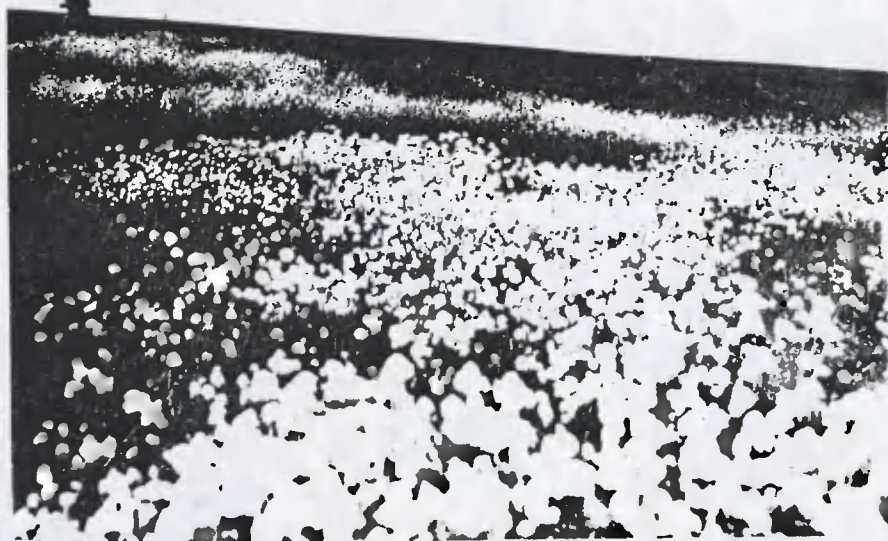


"Kirpicznyj zawod" /:cegielnia/

W tym obozie przebywały latami nasze rodaczki wypełniając ciężką, fizyczną pracę przy produkcji cegieł.

Dziko rosnące kwiaty to ozdoba tundry.

Workuta 1956 r.



Letnią porą tundrę pokrywa wegetacja kołkowatych kwiatów,  
ale są one pozbawione zapachu i są wiatrony, nie, gdyż brak  
tu owadów, a niezliczone roje komarów nie nieć barwa. Krow  
ludzka lub zwierzęca. Są one utraceniem mieszkańców tundry.  
rokata 1956 r.



Tundra latem traci swój groźny, zimowy wygląd. Odmrożnione wody niezliczonych jezior, błyszczą czystością i są przezroczyste, dzikie ptactwo ma ciche, bezpieczne miejsca na wylęgowisko. Jest to prawdziwy raj dla myśliwych. Wśród jezior snują się wąskie nitki cicho płynących strumyków.  
Workuta 1956 r.



Tymi szynami - pod eskortą psów i strażników - wędrował autor pamiętnika do budującej się kopalni w Juń Jadze przy osiedlu Nierusawiej, 30 kilometrów od Workuty. Było to w latach 1954 - 1956.



Katorżnicza droga do pracy i obozu.

Workuta 1956 r.





Fragment osiedla "Predszachtnaja"  
Workuta 1956 r.

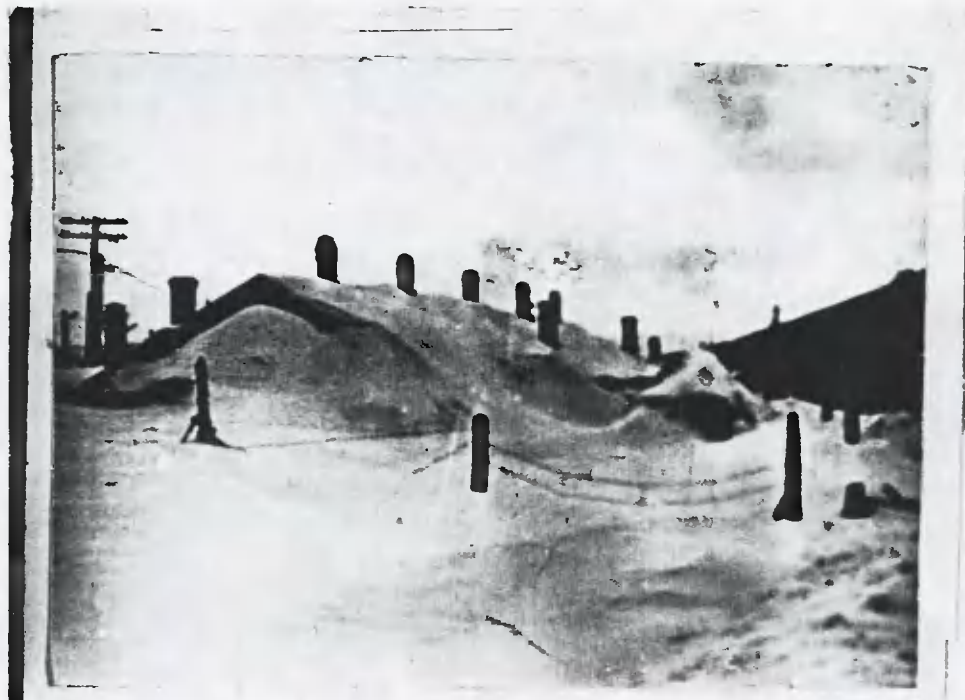
Jeden z ośrodków wegetacji więzionych Polaków.



Kopalinia "Kapitalnaja"

na której autor pamiętnika przebywał w latach 1950-1951

Workuta 1956 r.

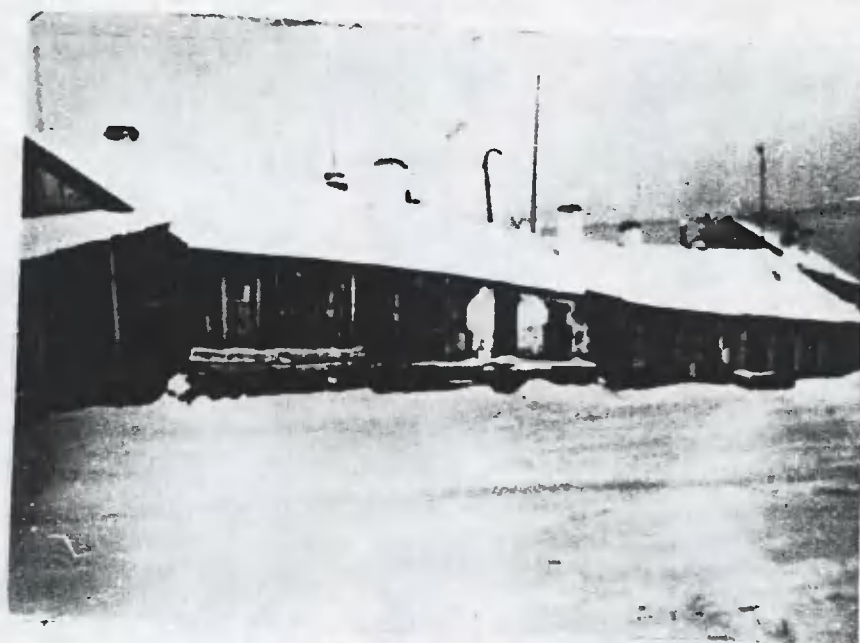


Barak obozowy w objęciach zapolarnej zimy.  
Wörkuta 1956 r.



Katorżnicza droga do pracy i powrotu do obozu, pod eskortą  
psów i automatów.

Wörkuta 1956 r.



Osiedle wolnych ludzi, byliych więźniów obozów workuckich.  
Ich teren poruszania się to promień kilkudziesięciu  
kilometrów. Droga powrotu do miejsc rodzinnych jest  
dla nich zamknięta po wsze czasy.

Workuta 1956 r.



Obozowy barak przy kop.  
Nr. 3 "Rudnik"  
Dwaj Polacy M. Grilowski,  
prawdziwe nazwisko Grzywocz  
Bernard i Cesiak Wasiliewski  
cierzą się namiastką wolności  
i oczekują na zezwolenie po-  
wrotu do Ojczyzny.



Workuta  
piękne mieszkania  
wolnych obywateli.



Workuta  
robotnicze osiedle  
czwartego rejonu.



Widok obozu nr. 9  
Tu również przebywają Polacy.  
Na horyzoncie kopalnia "kapitałna"



Oboz i kopalnia nr. 10.  
Miejsce nędzy i poniżenia wielu  
narodów.

Удостоверение № № 19920

1. Фамилия Янковский  
2. Имя Казимир  
3. Отчество Игнатьевич  
4. Год и место рождения 1922 г.  
г. Новоселовская  
сского района  
Действительно по 31 декабря 1956 г.

5. Кем выдано удостоверение \_\_\_\_\_

Нагайбинским

№ 175-21



21020



№

№

№ 21020

Янковский

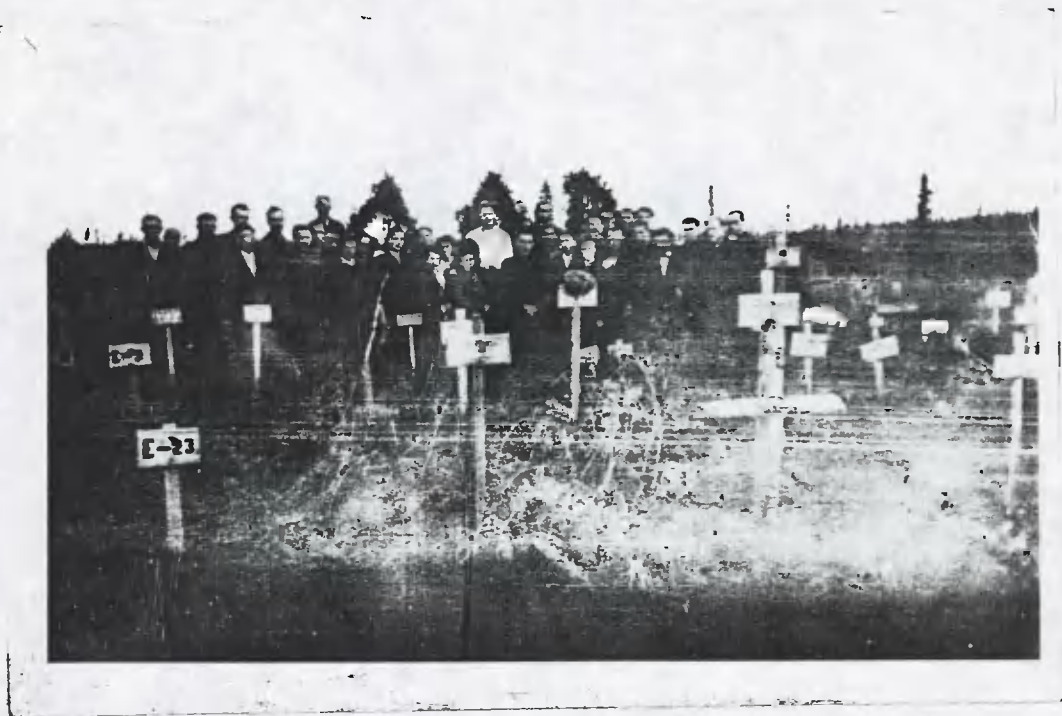
личная подпись

Dowód tożsamości wydany przez komendę obozu  
kazimierzowi Jankowskiemu



Jankowski Kazimierz

Zdjęcie z kartoteki obozowej wykonane w roku 1946. ~~we Lwowie~~  
Wymieniony był członkiem A.K. Aresztowany i sądony w ~~Stryju~~  
otrzymał 20 lat katorgi. Karę odbywał w obozach Workuty.  
Aresztowany w 1944 roku, zwolniony w 1956 roku.



Jedno z wielu tysięcy " cmentarzysk "rozsianych po całym terytorium  
Związku Radzieckiego.

Ciała zmarłych, czy też zamordowanych nie chciała przytulić do swego wnętrza skuta wieczną, zmarzliną syberyjską ziemią.

Grzebano te ludzkie szczątki w śnieżnych dołach i pokrywano je białym puchem śniegu. Na tym, śnieżnym kopczyku stawiano palik z tabliczką, na której był wypisany numer więźnia.

Nie było tam nazwisk, krzyży, czy prośby o modlitwę za zmarłego.

Gdy przyszło krótkie, ciepłe lato, znikła śnieżna pokrywa obnażając ciała, które pod wpływem ciepła rozkładało się obnażając nagie kości i czaszki, z których wзираły puste oczodoły.

Może kiedyś, w innej epoce badacze tych nie-objętych ziem będą głowili się skąd tu tyle kości, jakie fatum i jaka siła zagnała tych ludzi na te bezludzia i pozbawiła życia?



Workuta 1944-56, Mycopwuku  
R. C. C. C.

Musrszczyki

to więźniowie, którzy dręczeni głodem grzebali w śmietniku kuchennym. Inni, do otrzymanej porcji jedzenia dolewali większą ilość wody, by w ten sposób bardziej obciążyć żołądek. Taka operacja powodowała ogólną puchlinę i była to najkrotsza droga na tamten świat.





1941-42 Arctic Expedition

## ŁAGRY W WOKUCIE

ziemi głodu i przekleństw ,gdzie śmierć wydawała się wybawieniem.

Wszystkie zdjęcia były robione po śmierci Stalina,po reformach Malenkowa i Chruszczowa - w latach 1955 - 1956, po odkarmieniu zagłodzonych więźniów i zrzuceniu obozowych łachmanów.

Był to okres,w którym część więźniów wypuszczono z obozów,z obowiązkiem meldowania się raz w tygodniu w komendanturze obozu,oraz druga grupa, która mieszkała w obozie,ale posiadała przepustki na podstawie,których mogła wyjść z obozu na parę godzin.

Siłą rzeczy zdjęcia te nie mogą oddać prawdziwego obrazu życia,wegetowania i martyrologii Polaków,których jedyną winą było to,że walczyli w szeregach Armii Krajowej.

## M O T T O

My jesteśmy mądrzejsi od hitlerowców.  
My was nie rozstrzelamy,nie wydusimy  
w komorach gazowych,a zaprzagniemy was  
do katorżniczej pracy,pod której ciężarem  
będziecie zdychali,jak bezpańskie psy,  
ale nim zdechniecie pomożecie nam budować  
stalinowskie imperium,które przejdzie do  
historii,jako wy czyn młodych komsomolców.

generał Derewianko  
główny komendant wokuckich łagrów.



ПЕШНЫЙ ТРУД ПУТЬ К СВОБОДЕ

БАРАК УСИЛЕННОГО РЕЖИМА

Молотов 1944-1956

РОЗБОВА

Рис. Ю. А. [unclear]

Fragment obozu wolkuckiego

Moment wyprowadzania więźniów. Nad bramą napis "Czystny trud prowadzi do wolności" /uczciwa praca drogą do wolności/

Na pierwszym planie moment malowania zatartych numerów, umieszczonych na spodniach powyżej kolan, plecach i na czapce. Więźniowie nie mieli nazwisk, a tylko numery. Obok stoi nadzirektor/strażnik obozowy/.

Orkiestra gra skoczny kozak. Z prawej izolator zwany "burem" /barak usilonego reżimu - barak zastrzonego reżimu/, do którego wsadzano więźniów za rzekome przewinienia, gdzie trzymano ich w chłódzie i głodzie, po kilka lub kilkanaście dni.

Obok drutów ciała zastrzelonych więźniów, którzy próbowali ucieczki. Widok ten miał odstraszyć amatorów podobnych zamiarów.



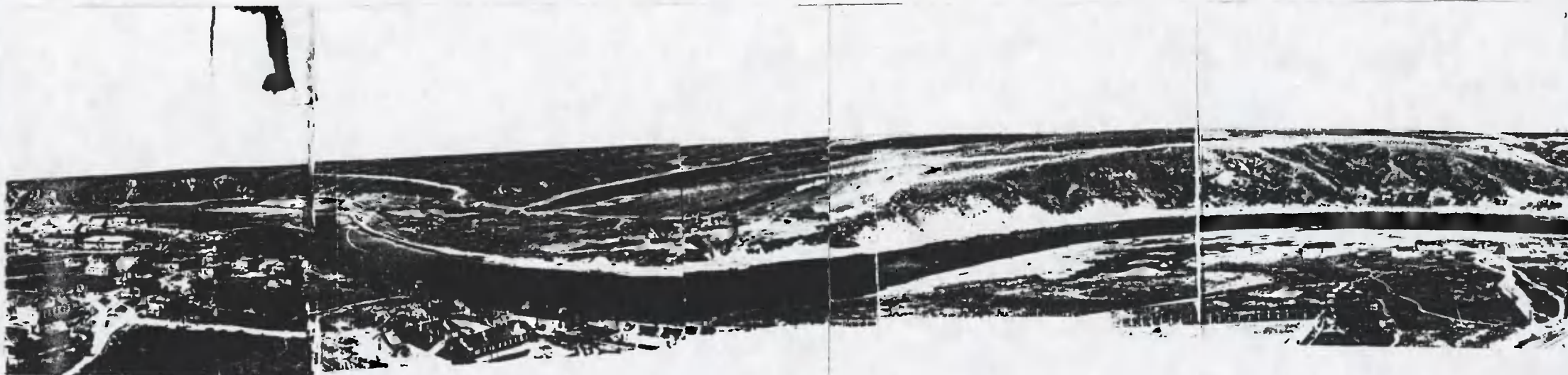
Katorżanin w drodze do stołówki

Zdjęcie więźnia katorżnika

Różnił się od pozostałych więźniów tym, że na czapce spodniach powyżej kolan i na plecach numer, który zastępował mu nazwisko. Ta grupa więźniów była pod specjalnym, ostrym dozorem. Najniższy wyrok dla tego rodzaju więźniów to 15 lat.



Wzdłuż rzeki Workuty ciągną się obozy. Od prawej ku lewej: elektrownia a za nią początek miasta Workuty, kopalnia Nr. 1, kopalnie "9-10", na przeciwnym brzegu kopalnia Nr. 8 - "Kudnia", z obozem przerzutowym, w którym następował rozdział przyczołowanych więźniów, dalej obozy "San Grodok", cegielni, kopalnia Nr. 40 i inne. Tylko mała część z nich widoczna na tej panoramie.



Fragment ogrodzenia obozu z linią "wyżek", drutów, przestrzenią za nimi zwaną zoną śmierci i widocznymi dwiema budami dla psów, z których każdy kontrolował wyznaczony odcinek

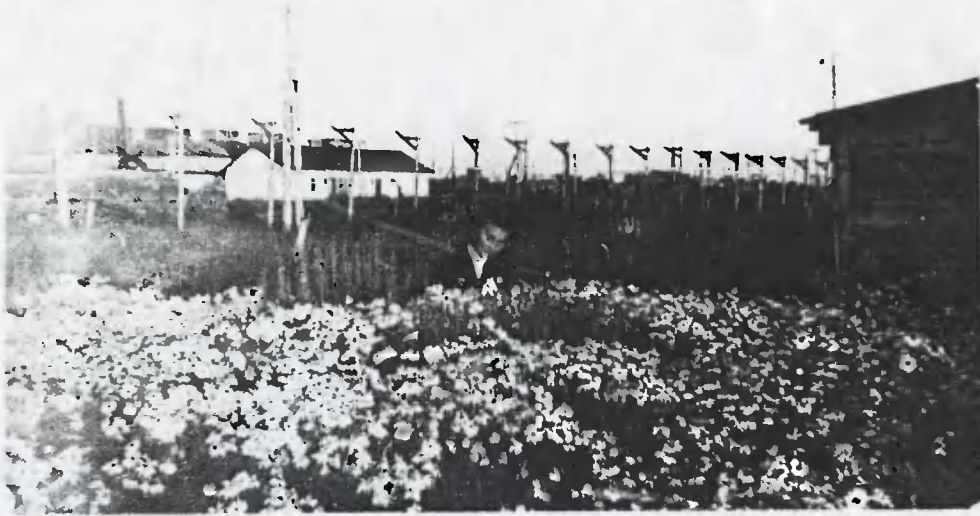


Wzdłuż rzeki Wor  
elektrownia a za ni  
kopalnie "9-10", na  
z obozem przerzutow  
nych więźniów, dalej  
i inne. Tylko mała c

© 1998 by ...







Obóz katorżanek "Kamieniczny Sawod"/cegielnia/  
wszystkie prace przy wyrobie cegły wykonywały kobiety. Tam  
przebywały i ciężko pracowały nasze redaczki.  
\* Kobiety więźniarki pracowały przy najcięższych robotach;  
w kopalniach na dole, cegielniach, przy robotach ziemnych, przy  
budowie nasypów i torów kolejowych.  
Zdjęcie obozu wykonano latem.

Wersja 1956 r.



Przy wszystkich kopalniach workuckich ~~były~~  
były obozy karne, które dostarczały siłę ro-  
boczą

Panami życia i śmierci katorżników byli tak  
zwani "narządczycy", którzy rekrutowali się  
z przestępców pospolitych.

Oni organizowali brygady i kierowali nimi.  
Od ich dobrej lub złej woli zależała norma  
żywienia, tak zwana "kotły".

Wersja 1956 r.





### Prymitywne cmentarzysko

gdzie legli ci, których zmogła katorżnicza praca  
Workuta 1956 r.

Takich cmentarzy zapomnianych przez Boga i ludzi,  
tysiące na rozległych terenach Sybiru, a w nich wielu  
naszych rodaków, których zmogła katorżnicza praca.

Workuta 1956 r.

© ARCHIWUM WORKUTA



Wieczna zmarzlina nie dopuszczała do swego wnętrza.  
Ciała zmarłych chowano w śnieżnych dołach, a na śnieżnym  
kopczyku stawiano palik z numerem zmarłego. Nie było tam  
krzyży, nazwisk, ni modlitwa za zmarłym.  
Te prymitywne krzyże postawili rodacy po wyjściu z obozu.



Dwaj szczęśliwi.

Z senatorską brodą Stanisław Baliński, który nie otrzymał prawa wyjazdu do Polski i Karol Prass, po wyjściu z obozu zwiedzają okolice Workuty.

Workuta 1956 r.

---



Koledzy obozowi.

Siedzą od lewej: Karol Prass, Adam Galiński, Edward Jankowski, Longin Blinstrub.

Stoją: Kazimierz Jankowski, Zbigniew Iis.  
Workuta 1956 r.



Zawieszenie broni

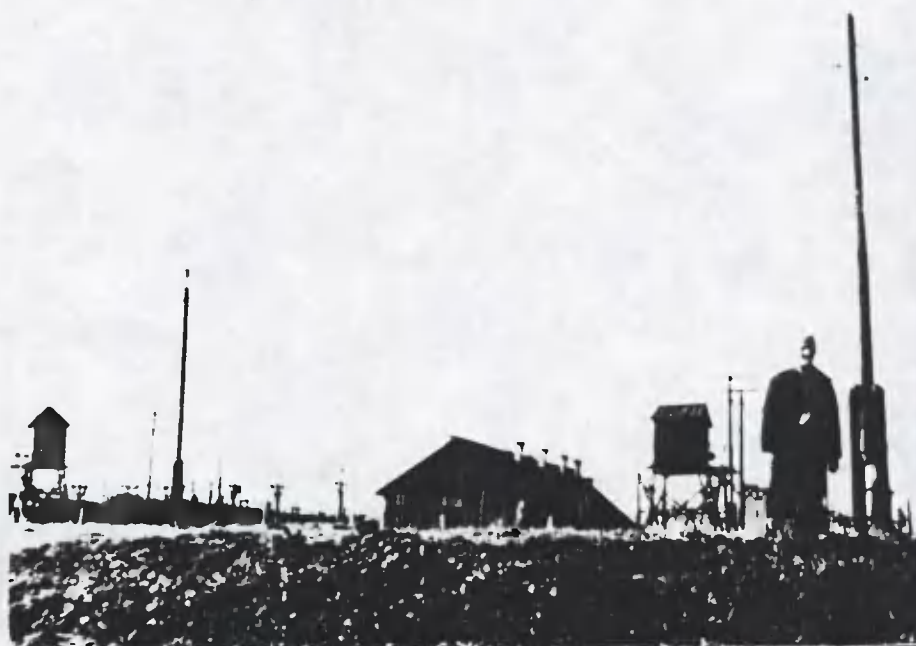
Karol Prass w przyjaznym odpoczynku z dawnymi banderowcami.



Dawni banderowcy ulegli autorytetowi akowca Karola Prassa.



Brygada budująca oparkanie dokoła nowej kopalni  
węgla kamiennego. Brygada złożona z Ukraińców i Rosjan,  
a wśród nich Polak Karol Prass /znak nad głową/



Karol Prass/A. Grabowiecki/na tle pustego obozu, po  
zwolnionych więźniach, objętych amnestią Chruszczowa.

Workuta 1956 r.



Pod "wyszką " pustego obozu Karol Prass /A.Grabowiecki/  
Workuta 1956 r.



Już wolni, objęci amnestią Chruszczowa, ale nadal  
mieszkają w obozie.

Obóz Juń Jaga obok Workuty 1956 r.



Karol Prass na przystanku kolejowym "Nierusawiej"  
w charakterze zwrotniczego /Strełocznik/



Międzynarodowa brygada ziemiokopów i cieśli z łożona z jednego  
Polaka, Rosjan, Ukraińców, Estończyków, Węgra i Łotyszów.



Pierwsze chwile radości po jedenasto-letnim przebywaniu  
 w stalinowskich łagrach. Za ich plecami łagier Nr.8 "Radnik"  
 Od lewej: Hanka Norska, Bronisława Łubiuk, Olgierd Zarzycki,  
 Franciszek Sitnik, Wanda Cejko, Barbara Dudycz, Stanisław Kiałka.



Stanisław Kiałka  
 15 lat katorgi z czego  
 odsiedział 11 lat.  
 Słowo odsiedział nie jest  
 adekwatne w stosunku do tego co wysierbiał.



Olgierd Zarzycki  
 katorżanin Nr.6.989  
 przebywał w łagrach Workut  
 11 lat, 7 miesięcy, 28 dni.





Brygada Katorżanek

Taki los zgotowano polskim kobietom za to, że walczyły o wolną i niepodległą Polskę, bez obcej ingerencji w wewnętrzne sprawy Polski.  
Na zdjęciu katorżanki, które kopią zmarzniętą, twardą jak sól ziemię.



Poza drutami

Pierwszy, radosny spacer poza drutami obozu.  
Na zdjęciu Polka Anna Cejko, a w dali obóz, w którym przebywała 10 lat.

Workuta 1956 r.



Grupa polskich katorżników

Od lewej siedzą: Adam Galiński, Karol Prass/A. Grabowiecki"  
stoją: Kazimierz Jankowski, Longin Blinstrub, J. Kaczmarek.  
Workuta 1956 r.



Cwórka byłych katorżników

Andrzej, Kazimierz Jankowski, Edward Jan -  
kowski, Longin Blinstrub.  
Workuta 1956 r.



Karol Prass po zwolnieniu z obozu dostał posadę "streżocznika"  
/zwrotniczy/na przystanku kolejowym "Nierusawiej" obok  
obozu "Jur Jaga". Workuta 1956 r.



Odoczynek po pracy na przystanku kolejowym "Nierusawiej"  
Workuta 1956 r.



Janusz Gutry.

Szesnastolatek, syn oficera polskiego. Aresztowany we Lwowie za udział w A.K. Bity przez zbirów Berii próbował popełnić samobójstwo, przerywając żyły gwoździem na przegubie ręki. Odratowany otrzymał nową porcję batów. Wyrokiem sądu skazany na 20 lat katorgi. Wyrok odbywał w obozach Workuty, w latach 1944-1955. Zwolniony w 1956 powrócił do kraju.

Zdjęcie wykonane w Polsce.



Franciszek Sitnik

Lwowianin, członek N.O.W. Aresztowany we Lwowie w 1945 roku, skazany na 15 lat katorgi, przebywał w obozach Workuty. Zwolniony w 1956 r. powrócił do kraju.

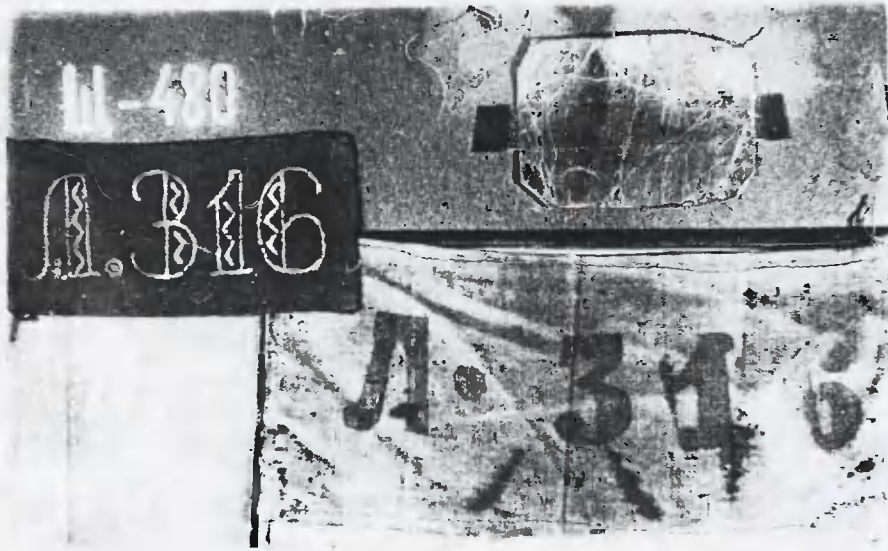
Workuta, 1956 r.



Mirosław Hentosz

Akowiec z oddziału samborskiego. Aresztowany w 1945 roku, otrzymał 20 lat katorgi. Wyrok odbywał w obozach Workuty. Zwolniony w 1956 roku powrócił do kraju.

Workuta, 1956 r.



Wzor opaski noszonej przez więźniów - katorżników. Opaski te były umieszczane na czapce, rękawach i na spodniach.

**СПРАВКА**

(о замене паспорта)

Выдана настоящая гр-ну Ильинский  
Григорий Михайлович года рождения  
 уроженцу г. Тернополь  
 национальность беларусь в то

он работает \_\_\_\_\_  
 в качестве \_\_\_\_\_ и что ему как всесоюз.



поселенцу разрешено проживать только в пределах города Воркуты, Коми АССР.  
 Гр-нин ильинский имеет порож. прав до 15. VIII 1960  
 Гр-нин \_\_\_\_\_ прописан по адресу: \_\_\_\_\_

Действительно по 31. декабря 1955 г.  
Воллегант 1971 Воллегов  
Сей, А.И. Воллегов

Przepustka  
 na podstawie, której więzień miał prawo poruszać się w obrębie workuty.

ВИДОМ НА ЖИТЕЛЬСТВО НЕ СЛУЖИ

**СПРАВКА**

Ильинский Григорий  
Семиславович, 1916 года рождения, уроженец  
г. Тернополь

22 - Семиславович 1945 года осужден по ст. ст. 54-10, 54-11 УК  
Засл на 15 лет \_\_\_\_\_ УК \_\_\_\_\_ Освобожден \_\_\_\_\_  
 дальнейшего илхождения в ссылке 15. июня 1956 г. на основании приказа Ген.  
 Прокурора, МВД и КГБ при Совете Министров СССР от 19 марта 1956 года.

долж. Начальник отдела МВД Коми АССР  
Семиславович (КРЫЛОВ)

Zaświadczenie  
 o zwolnieniu z obozu, z prawem wyjazdu do Polski.



Jerzy Michajłowski

warszawianin. Pozuje na tle kopalniaków.  
Przebywał w obozach Morkuty 11 lat.



© ARCHIWUM WSCHOON

Dwaj przyjaciele, lwowianin Feluś Tyczyński i warszawianin  
Jurek Michajłowski. Uśmiechają się, gdyż są poza drutami.



Radosne wyjście poza przekłete druty.  
Tala Odyńska i jej przyszły mąż Olek Zarzycki.  
Workuta 1956 r.



Przenicowani, uśmiechnięci, w oczekiwaniu na wyjazd  
do kraju.  
Od lewej: Wanda Cejko, Hanka Szejko, Franciszek Sitnik,  
Barbara Dudycz, Bronisława Kutiuk.

Workuta 1956 r.



Fe ician Tyczyński

Iwowieanin. Pracował w AK, jako radysta i na tym posterunku został aresztowany w 1945 r. w lasach winnickich, koło Lwowa. Otrzymał 20 lat katorgi, a karę odbywał w obozach Workuty. Workuta 1956 r.

Вотузас блę в оорґоіе Worku

СССР  
27107  
21 август 1956

ВИДОМ НА ЖИТЕЛЬСТВО НЕ СЛУЖИ

**СПРАВКА**

Гражданин (ка) Тычицкий Феликс  
Спасского, 1916 года рождения, уроженец  
г. Тернополь

22 - сентября 1945 года осужден по ст. 54-10, 54-11 УК  
Усуд на 15 лет УК. Освобожден от  
дальнейшего наказания в связи с 15. июня 1956 года на основании приказа Генерального Прокурора, МВД и ЦБ при Совете Министров СССР от 19 марта 1956 года.

Феликс Тычицкий (БРЫЛОВ)

Przepustka

dająca prawo wyjścia z obozu na parę godzin





Pierwsze, radosne spotkanie - poza obozem - rodaczek i rodaków, narazie na problematycznej wolności. Na ten moment musieli czekać, w katorżniczych warunkach przez 10 lat.

Od lewej: Wanda Cejko, Bronisława Kutuk, Hanka Szejko, Barbara Dudycz, Maria Kwiatkowska. Bernard Grzywocz,

z tyłu: Franek Walicki. Za nimi obóz miejsce ich katorgi.



Po dziesięciu latach katorżniczej pracy i w kręgu drutów kolczastych, nareszcie poza ich zasięgiem.

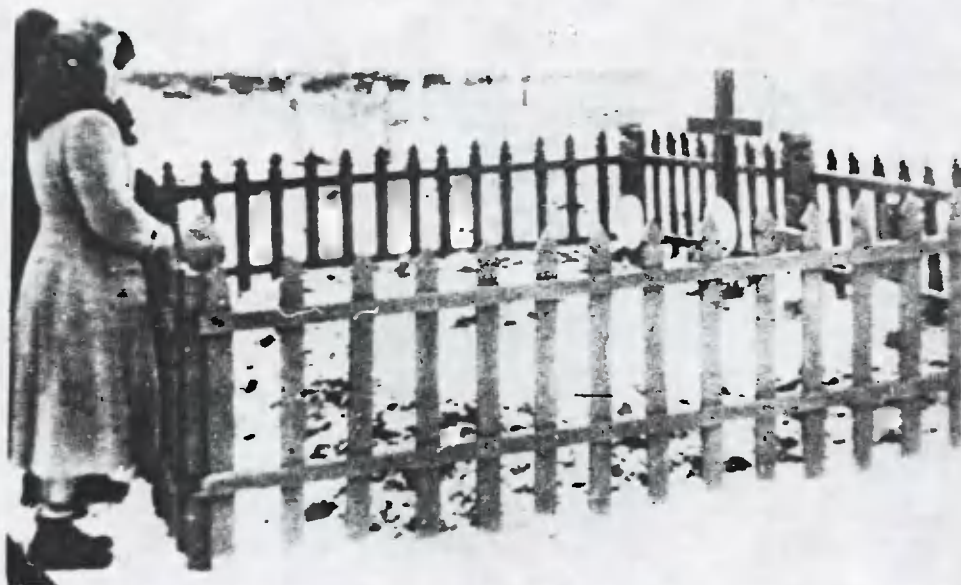
Od lewej: Wanda Cejko, Hanka Szejko, Bronisława Kutiuk, Maria Kwiatkowska, Barbara Dudycz.

Workuta 1956 r.



W latach 1939 - 1941.

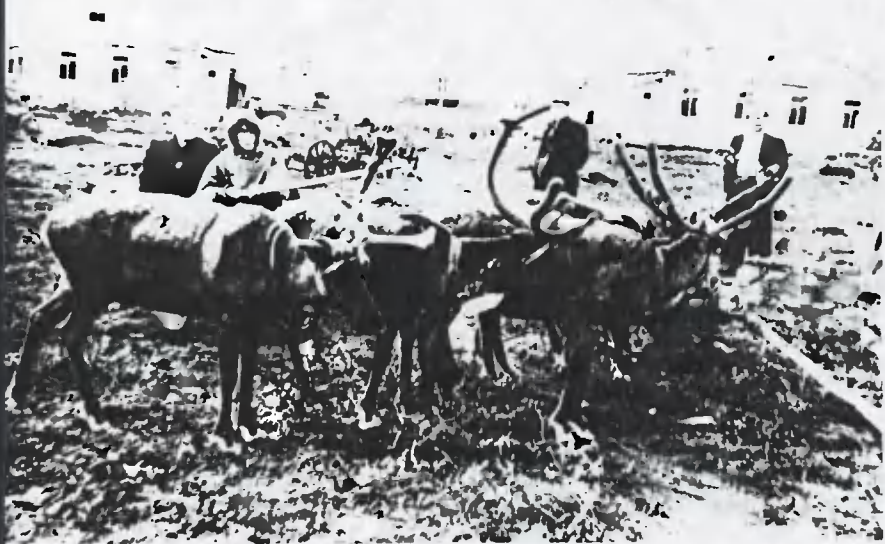
na rozkaz despoty Stalina, siepacze Berii wpadali nocami do polskich domów i zabierali całe rodziny wywożąc je do nieludzkiej, syberyjskiej ziemi. Car deportował tych, którzy z bronią w ręku dążyli do wywalczenia wolnej Polski. Hitler deportował kwiat młodzieży polskiej, by podtrzymać walącą się maszynę wojenną. Stalin deportował dzieci i starców, gdyż mogli zagrozić jego władzy.



Gorżkie wspomnienia.

Tala Odyńska, zamężna Zarzycka, w bolesnej zadumie nad grobem brata Jarka, którego zbiry Berii zastrzelili w 1943 r. za próbę ucieczki z obozu. Rodacy po zwolnieniu z obozu w 1956 r. na miejsce tabliczki z numerem więźnia postawili krzyż i oparkanie.

Workuta 1956 r.



Autochtoni

okolic Warkuty, którzy trudnią się wypasaniem renów i myślistwem. Polowali też na uciekinierów z obozów katorzniczej pracy. Za schwytanego otrzymywali 300 rubli.

o  
r.  
r.  
ie  
ich,



Pogrzeb deportowanego.

Polaków deportowanych do Workuty było wielu, całe rodziny.

Na zdjęciu pogrzeb jednego z nich, Wiktora Zolingera, deportowanego w 1939 r. a zmarłego w 1944 r. na obczyźnie.



Pogrzeb Władysława Łukawskiego, mieszkańca podłwańskiej wsi Zubra, deportowanego 1.7.41 r. do Workuty, a zmarłego tam w 1945 r.